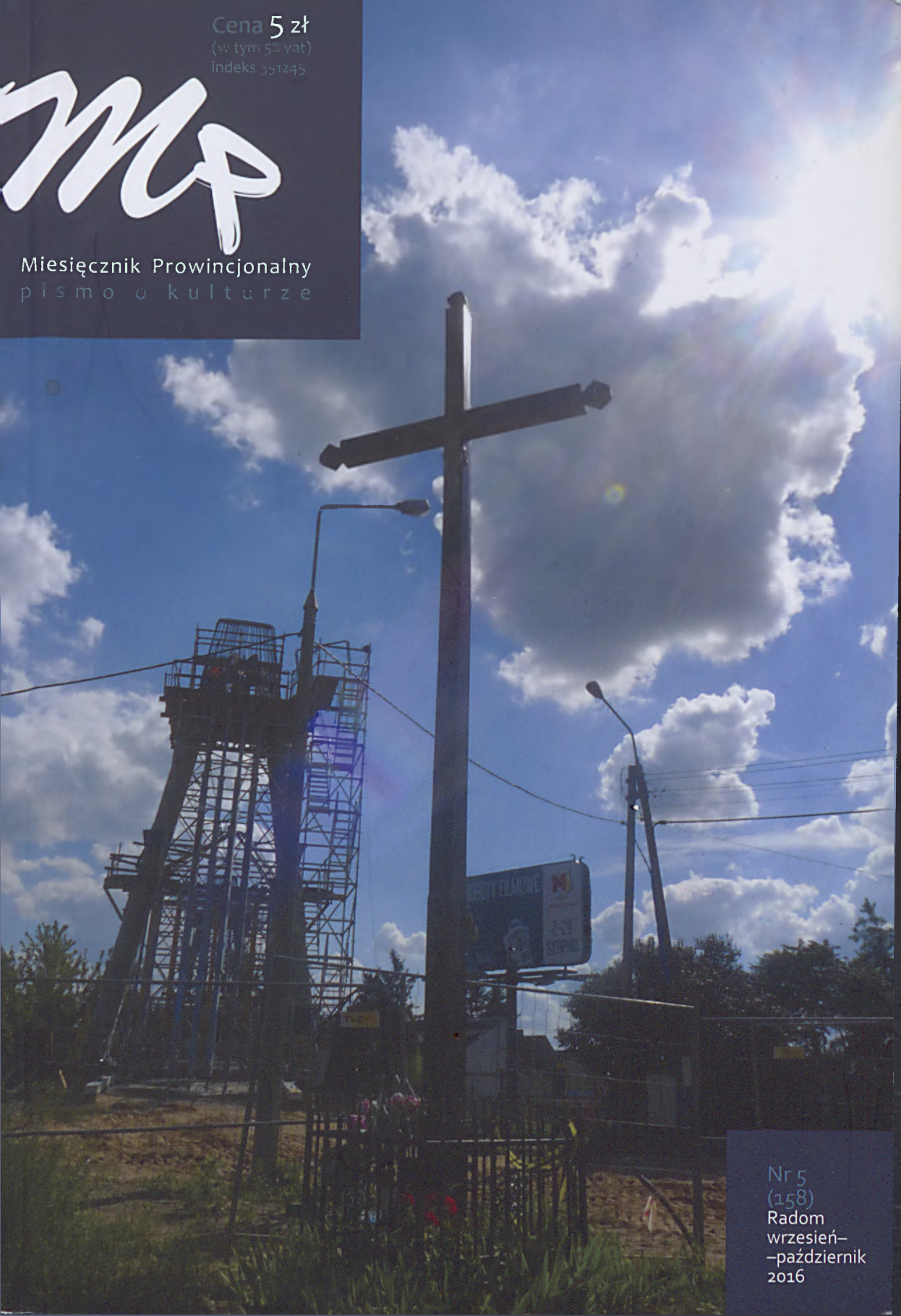


Cena 5 zł
(w tym 5% vat)
indeks 351245

MCP

Miesięcznik Prowincjonalny
pismo o kulturze



Nr 5
(158)
Radom
wrzesień–
październik
2016



Na okładce:
kładka nad ulicą Szarych Szeregów (w budowie)
fot. Stanisław Zbigniew Kamieński
2.08.2016 r.

Radomskie pismo o kulturze
Nr 5 (158)
Radom, wrzesień–październik 2016
cena 5 zł ISSN 1506-5391

Temat numeru:
Powidoki Czerwca

Redaguje zespół w składzie:



Anna Skubisz-Szymanowska
– redaktor naczelna



Agata Morgan
– sekretarz redakcji



Halina Bogusz
– korekta



Mariusz A. Dański
– dyrektor artystyczny



S. Zbigniew Kamiński



Jerzy Kutkowski



Krzysztof Majerczyk



Ilona Michalska-Masiarz



Michał Płoski



Grzegorz Sasin



Anna Społna



Mieczysław Szewczuk



Robert Utkowski

Wydawca:
Miejska Biblioteka Publiczna
w Radomiu
Adres redakcji:
ul. J. Piłsudskiego 12
26-600 Radom
tel.: 48 362 67 35
fax: 48 363 38 18
e-mail: miesiecznik.radom@op.pl
<http://facebook.com/miesiecznikprowincjonalny>

Materiałów niezamówionych redakcja
nie zwraca i zastrzega sobie prawo
ich skracania i redagowania.
Jednocześnie zapewniamy
integralność treści i formy
utworów literackich.

**Prenumeratę
można zamówić
listownie lub osobiście
(Miejska Biblioteka Publiczna
ul. Piłsudskiego 12, 26-600 Radom),
jak również telefonicznie
(48 362 87 88)
i e-mailem (prom.mbpradom@op.pl)
nr konta: Bank PEKAO S.A.
70 1240 5703 1111 0000 4905 8590**

Zespół „Miesięcznika Prowincjonalnego”
dziękuje Panu Czesławowi Krukowi
za współfinansowanie wydawnictwa w 2016 roku

Wydawnictwo sfinansowano ze środków Gminy Miasta Radomia

OD REDAKTORA

Drepczę w rozgrzanym zakopiańskim tłumie, wśród kolorowych sukienek, koszul, krótkich i długich spodni, powiewających spódnic, chust przerzuconych przez ramię, okrywających ramiona, przyczepionych do damskich plecaków i toreb. Z wnętrz mniejszych i większych, skromniejszych i bardziej „wypasionych” lokali gastronomiczno-rozrywkowych przez pootwierane szeroko drzwi i okna atakuje ostre góralskie, lub stylizowane na góralszczyznę, granie i śpiewanie. Czasem dobiegają szlagiery disco polo, czasem pop i dyskotekowe łubudu. Mam dość, bardzo dość. Nie mogę jednak ani przyspieszyć, ani zwolnić. Przewalający się w obydwie strony głównej ulicy tłum depcze mi po piętach, potrąca, a kiedy próbuję przyspieszyć, to ja zaczynam kogoś poszturchiwać i popychać. Nie mogę uciec w bok, bo szumiąca, od czasu do czasu hucząca rzeka płynie nieprzerwanie, nie pozwala opuścić koryta.

Kilkaset metrów i kręci mi się w głowie; stała reakcja na podobne sytuacje. Nie mogę się zatrzymać, nie mogę usiąść. Wszystkie ławki na ulicy oblepione odpoczywającymi, wszystkie murki zajęte. W ogródkach pod kolorowymi parasolami z logo pepsi, żywca, warki, coli i innych też tłok. Wreszcie, kiedy już wiruje mi w głowie diabelski młyn, a irytacja osiąga najwyższy stopień w skali do nieskończoności, miga przede mną pustawe wnętrza kawiarni „Europejska”.

Przekraczam próg i... chcę się wycofać, ale rzeka ludzi, która mnie wypluła, nie bardzo pozwała włączyć się w nurt. Siadam więc przy stoliku, malutkim, okrągłym, na jednej nodze. Krzeselka – też rozkwit epoki Gierka. To samo ściany, dekoracje okien i zapach... Zapach papierosowo-alkoholowo-knajpiany, ale taki bardziej dancinowy. Zapach tamtych lat... Zajęty jeszcze jeden stolik, w kącie pod oknem. Przy nim dwoje ludzi pogrążonych w cichej rozmowie nad ciastkiem. Przejglądam postrzępione menu, też trochę niedzisiejsze. Szarlotka, kawa parzona, galaretki owocowa, wino, kilka rodzajów wódki.

Po jakichś 20 minutach z zaplecza wynurza się kobieta i podchodzi do naszego stolika. Szybko zamykam oczy i otwieram je. Powtarzam to kilka razy, ale nic się nie zmienia. Kelnerka ciągle ubrana jest w granatową spódnicę do pół tydki z rozcięciem do pół uda, białą bluzkę, biały fartuszek z falbanką, a w natapirowane blond włosy ma wetkniętą koronkową przepaskę z plastiku. Przyjmuje zamówienie i znika w latach 70.

Rozglądam się ponownie i uśmiecham. Coś niesamowitego... Gdzie jestem? Z głośnika płyną przeboje Krawczyka, Maryli Rodowicz, Połomskiego i niezapomniany „Hotel Kalifornia”. Jacek Lech smętnie zawodzi „20 lat, a może mniej...”

Stopka kieliszka z winem jest charakterystycznie dla tamtego czasu wyszczerbiona, podobnie filizanka z kawą parzoną. Podczas kolejnego zamówienia próbuję podpytać kelnerkę, czy to miejscowo celowo zachowano w takim stanie, ale ona jakby nie rozumiała, nie wie, o co pytam. Jej reakcja utwierdza mnie w przekonaniu, że za każdym razem wynurza się z minionej epoki.

W pewnej chwili podchodzi i bez skrępowania prosi, żebyśmy zapłacili, bo ona właśnie musi wyjść na 20 minut. Oczywiście, płacimy. Spoglądam za nią przez okno i widzę przechodzących ludzi. Jest ich wielu. Ich ubrania stają się bardziej jednolite, zaś kolorowe chusty i szale przybierają barwy czerwieni, niektóre są biało-czerwone. Pochód maszeruje wolno przed siebie. Gdzieś gdzieś ktoś macha czerwonym tulipanem lub goździkiem.

*Mam dość. Wychodzę na zewnątrz. Z ulgą stwierdzam, że jestem w kurorcie 2000+.
Tylko dlaczego znowu ciągnie mnie do „Europejskiej”?*

Anna Skubisz-Szymanowska

SPIS TREŚCI

- 1 | *Od redaktora*
Anna Skubisz-Szymanowska
- 3 | *Pożegnanie Andrzeja Wajdy (1926–2016)*
- SZKIC 4 | *Czerwcowe powidoki*
Stanisław Zbigniew Kamieński
- ESEJ 13 | *Drabina (część XXI)*
Michał Płoski
- RECENZJA 15 | *Kontrolowane chuligaństwo – kilka uwag o sztuce*
Łukasz Prus
- 18 | *Wulkan na wyciągnięcie ręki*
Anna Spólna
- PLASTYKA 21 | *Malarstwo Uty Przyboś-Christiaens w Koziencach*
Lidia Ziemińska
- 24 | *„Orzeł biały na tle nerwowym”*
Lidia Ziemińska
- GALERIA PROWINCJONALNA 26 | *Plakaty Radomskiego Czerwca '76*
- PLASTYKA 35 | *Spojrzenie i obraz. Traktat o malarstwie...*
Jacek Antoni Zieliński
- PROZA 40 | *Stary*
Grzegorz Bartos
- FELIETON 43 | *Po widoki*
Robert Utkowski
- TEATR 45 | *Chorobliwe, bliskie obłądu indywiduum...*
Martyna Bielińska
- KINO 48 | *Au hasard (Michael Cimino 1939–2016)*
Grzegorz Sasin
- PRO MEMORIA 52 | *Wojciech Twardowski (1939–2016)*
Mieczysław Szewczuk
- Z KART HISTORII 56 | *Był jeszcze jeden anioł...*
Marta Wiktoria Trojanowska
- 58 | *Pałac zapominany*
Jerzy Kutkowski
- KRONIKA 62 | *lipiec–sierpień 2016*

**w Galerii Prowincjonalnej
PLAKATY RADOMSKIEGO CZERWCA '76**



Pożegnanie Andrzeja Wajdy (1926–2016)

foto: Stanisław Zbigniew Kamieński, 6.08.2016 r.

Z żalem przyjęliśmy wiadomość o śmierci Andrzeja Wajdy. Zmarł w niedzielę wieczorem, 9 października, w Warszawie.

Andrzej Wajda – wielki reżyser filmowy i teatralny, był znany i ceniony na całym świecie, został uhonorowany wieloma nagrodami, wśród nich był także Oscar w 2000 r. Dla nas, dla redakcji „Miesięcznika Prowincjonalnego”, był kimś bliskim, życzliwym czytelnikiem naszego pisma, który zawsze czuł się związany z Radomiem, miastem swojej młodości. Andrzej Wajda wielokrotnie gościł na naszych łamach, Jego filmy i wypowiedzi były przedmiotem redakcyjnych rozmów, a czasami gwałtownych sporów. Dwukrotnie Jego portret pojawił się na okładce „MP”. Będzie zawsze obecny w naszej pamięci.

Redakcja

Czerwcowe powidoki

Stanisław Zbigniew Kamiński

W tegorocznym, podwójnym (2/3) numerze „Miesięcznika Prowincjonalnego” odnoszącym się niemal w całości do Radomskiego Czerwca '76 i 40. rocznicy owego robotniczego protestu, pisałem o tamtych historycznych wydarzeniach i ich pamięci, z własnego, prywatnego punktu widzenia. Mój obecny komentarz do rocznicowych obchodów ma też taki charakter. Jaką zresztą inną perspektywę miałbym obrać? Nie po raz pierwszy podkreślam osobisty ton moich wypowiedzi, powtarzanie tego może wydać się nudne czy nawet irytujące, ale pamiętam reakcje na wcześniejsze moje teksty – że osobiste (z niewyartykułowaną przyganą), czy nawet – zbyt osobiste (z wyraźną już dezaprobatą). Kiedyś bywało to powodem, że, zniechęcony, rezygnowałem z pisania, w końcu przestałem traktować takie uwagi poważnie. Zaczęłem postrzegać prywatność wypowiedzi jako specyfikę mojego odnoszenia się do rzeczywistości, a nie cechę dyskwalifikującą mnie jako piszącego w opinii ewentualnego czytelnika.

Odchodzą na szczęście czasy przekonania o istnieniu jednej, obiektywnej wiedzy na temat świata w jego rozlicznych aspektach, dotyczy to przede wszystkim nauk humanistycznych. To, co subiektywne, podważa niejednokrotnie wiarygodność tego, co przyjmowaliśmy bezkrytycznie jako obiektywne, a więc niepodlegające dyskusji, ocenie, wątpliwościom. Pokutuje wyświechtane powiedzenie, że z faktami się nie dyskutuje, ale historia, szczególnie ta XX w., żywo nas interesująca, bo dotycząca naszych bliskich, rodziców, dziadków, dostarcza wielu przykładów manipulowania faktami, statystykami, badaniami i ekspertyzami dla potrzeb zwycięzców i zwyciężonych. Choć oczywiście zwycięzcy mają nieporównanie większe możliwości w tej dziedzinie, ale też role potrafią się odwracać. Robotniczy protest 25 czerwca 1976 r. w Radomiu, Ursusie i Płocku może stanowić przykład takiego zwrotu historii.

Okrągłe rocznice ożywiają pamięć o minionych wydarzeniach i ich uczestnikach, mobilizują do podejmowania zaniechanych kiedyś przedsięwzięć, mających służyć utrwalaniu hi-

storii w zbiorowej pamięci. Wydarzenia Czerwca '76 w Radomiu nie doczekały się jednak pomnika. Przyglądaliśmy się, a nawet niektórzy z nas brali udział w historii owej niemożności, wyzwajającej coraz silniejsze napięcia pomiędzy pojedynczymi ludźmi, grupami społecznymi i miejskimi organizacjami. Powstała natomiast, z inicjatywy stowarzyszenia noszącego nazwę Radomski Czerwiec '76, tablica na budynku dawnego komitetu wojewódzkiego PZPR, mówiąca o pamięci tamtego czasu wśród radomian, a uliczka obok otrzymała imię Zbigniewa Romaszewskiego, jednego z założycieli Komitetu Obrony Robotników. Urząd miejski ogłosił i przeprowadził konkurs na projekt muralu – żyjemy w czasach mody na murale – zrealizowanego potem na dziesięciopiętrowym bloku w bezpośrednim sąsiedztwie tzw. kamienia węgielnego pod budowę przyszłego pomnika.

Przyznać muszę, że projekt pamiątkowej tablicy, który widziałem, pisząc poprzedni tekst – wówczas przytoczyłem jej treść – wydał mi się korzystniejszy pod względem estetycznym niż gotowa tablica. Żeby jednak oddać sprawiedliwość wykonawcy, dodam że na jej realizację pozostawiono niewiele czasu. Uzgodnienia dotyczące szczegółów tego przedsięwzięcia trwały zbyt długo, niemal do ostatniej chwili. Wyobrażam też sobie, jak niełatwo zinterpretować przy pomocy rzeźbiarskiego warsztatu zdjęcie przedstawiające wózek akumulatorowy z grupą robotników (z Zakładów Metalowych), na dodanym tle budynku partii. Czarno-biała skonstrastowana reprodukcja historycznej fotografii robi dużo silniejsze wrażenie niż relief interpretujący tę scenę.

Konkurs na projekt muralu (wpłynęło podobno kilkanaście propozycji) wygrało dwuosobowe Donut Planet Studio z Wrocławia – Sebastian Skarzyński i Przemysław Wójcik. Zwycięskie rozwiązanie można było oglądać na stronie internetowej UM, nie pokazano jednak innych projektów biorących udział w konkursie.

Wydano natomiast zestaw pięciu okolicznościowych kartek pocztowych z wybranymi projektami, wśród nich ze zwycięskim projektem oraz innym rozwiązaniem, autorstwa Dawida Celeka, które stało się też znakiem umieszczonym na plakatach informujących o przebiegu obchodów 40. rocznicy Czerwca '76 pod hasłem „Zaczęło się w Radomiu”. Ta druga propozycja – sylwetka idącego człowieka ze wznieśioną ręką pokazującą znak zwycięstwa i wolności – wydała mi się dużo bardziej wyrazista i przekonująca, zapewne nie tylko mnie, skoro została wykorzystana na okolicznościowych drukach dotyczących rocznicy radomskiego protestu. Szkoda, że nie wygrała w konkursie i nie została zrealizowana w formie monumentalnego malarstwa ściennego.

Podczas symbolicznego odsłonięcia muralu, 25 czerwca po zmroku, podano do publicznej wiadomości, że jury oceniającemu propozycje nadesłane na konkurs przewodniczył Edward Dwurnik, jeden z najbardziej znanych współczesnych malarzy polskich, podejmujący wielokrotnie tematykę dramatycznych wydarzeń społeczno-politycznych czasów PRL, autor obrazu „Radom '76”. Pisząc obecny tekst, chciałem dowiedzieć się czegoś więcej o motywach wyboru tego a nie innego projektu i zatelefnowałem do Edwarda Dwurnika, ale Dwurnik zdementował informacje o swoim udziale w pracach jury. Byłem zaskoczony, zapytałem – może zachorował Pan i musiał zrezygnować z uczestnictwa w obradach? Dwurnik podchwycił to: – Tak, chyba się rozchorowałem – powiedział bez przekonania, żeby zakończyć temat.

• Zrealizowany mural, wielkie rozmiarami malowidło wykonane farbami akrylowymi, każdy może zobaczyć na własne oczy, przechodząc przez skrzyżowanie dwóch najruchliwszych bodajże ulic w mieście. Jaki więc jest – każdy widzi. Opiszę go jednak pokrótce – składa się z dwóch odrębnych części: bardziej wyeksponowana, na ścianie od ulicy 25 Czerwca, przed-



foto. Stanisław Zbigniew Kamiński

stawia głowę i tors młodego robotnika w kasku, spoglądającego gdzieś ku górze. Nad głową i na dole malowidła, w rytmizowanym porządku pionów i poziomów, układają się schematyczne dłonie w geście victorii. Daszek kasku rzuca na twarz cień, na tle ocienionych części twarzy i szyi pojawiają się białe ruchliwe plamki kresek i punktów, ożywiające duże, ciemne płaszczyzny. Można kojarzyć je z tzw. powidokami w oczach robotnika, spoglądającego przed chwilą w słońce. Na projekcie ów zabieg wydaje się plastycznie przekonujący, ale w realizacji sprawia niestety wrażenie, jakby farba w tych miejscach zaczynała się już łuszczyć, odsłaniając białe tło. Szyja, twarz i kask zostały celowo wydłużone, aby oglądane z dołu, w skrócie perspektywicznym, niczym schematy bicykli na rowerowych ścieżkach, wracały do normalnych proporcji. Jednak zamierzony efekt i w tym przypadku zawodzi. Mural ogląda się nie spod bloku, gdzie trudno się nawet zatrzymać na wąskim chodniku, a raczej z drugiej strony ulicy, skąd owo manierystyczne wydłużenie traci sens. Wiele osób, z którymi rozmawiałem na temat muralu, zwracało uwagę, że robotnicy z radomskich fabryk nigdy nie nosili kasków, jak ci pracujący „na powietrzu” stocznioowcy czy zatrudnieni w firmach budowlanych mnie jednak ów pozorny błąd nie przeszkadza. Młody człowiek w kasku staje się tym sposobem uczestnikiem wielkiej robotniczej społeczności, która cztery lata po wydarzeniach radomskich doprowadziła do podpisania porozumień sierpniowych. Takie przedstawienie sprzyja hasłu 40. rocznicy Czerwca '76 – „Zaczęło się w Radomiu”.

Druga część muralu znajduje się na ścianie od ulicy Żeromskiego, pozostającej przez większość dnia w cieniu. Namalowano tam metaforę solidarności – biegnący pionowo, łańcuch utworzony z obejmujących się w nadgarstkach dłoni, ale dalsze części rąk, przedramiona, mają już strukturę drewna, zamieniając się w pierś młodego drzewa. Barwy tego pnia, giętkiego

organicznego pędu, zbijają z tropu, dominuje zgniła zieleń i zgaszony fiolet, kojarzące się raczej z rozpadem, a nie ze wzrastaniem w siłę. Mizerne, blade cyfry „76” są, obok tego łańcucha dłoni, ledwie widoczne.

Kiedy okrążyła rocznica robotniczego protestu z 1976 r. była coraz bliżej, myślałem z satysfakcją, że radomianie pamiętają, co działo się na ulicach miasta i pod komitetem partii 40 lat temu – widziałem wiele samochodów udekorowanych biało-czerwonymi chorągiewkami. Byłem przekonany, że to z tego powodu, zanim uświadomiłem sobie, że przyczyna spontanicznej manifestacji jest inna, że chodzi o Mistrzostwa Europy w piłce nożnej. Gdy nasza reprezentacja przegrała mecz z Portugalią, narodowy entuzjazm stracił na sile, chorągiewki nie dotrwały do soboty 25 czerwca. Poczuję się rozczarowany, oszukany przez właścicieli aut – piłkarskich kibiców.

Młodzi artyści z Wrocławia przystąpili do realizacji projektu muralu na dwa tygodnie przed rocznicą wydarzeń Czerwca '76; przychodziłem pod blok, gdzie pracowali, niemal codziennie i fotografowałem powstawanie malowidła. Widziałem, że niektórzy przechodnie przystawali, ktoś robił zdjęcia telefonem. Kilkakrotnie słyszałem słowa dezaprobaty czy nawet złości pod adresem tej inicjatywy: że zmarnowane pieniądze, że komu to potrzebne. Miałem wrażenie, że wypowiadający je nie wiedzą nawet dobrze, co przedstawia czy wyraża powstający mural, nie chcą się nad tym zastanawiać, czy nie potrafią nic zobaczyć. Po jakimś czasie malarze, znajdujący się przeważnie wysoko w koszu wysięgnika, pod parasolem chroniącym ich od słońca, rozpoznawali już mnie, kiwaliśmy do siebie. Zdarzyło się, że w przerwie w pracy, kiedy stali na ziemi, zamieniliśmy parę zdań. Miałem zamiar porozmawiać z nimi dłużej po uroczystości „otwarcia” dla mieszkańców gotowego dzieła, której towarzyszył pokaz wideo wyświetlany na ścianie bloku, także ich autorstwa, ale wydał mi się tak mało prze-



fot. Stanisław Zbigniew Kamiński

Uroczystość odsłonięcia tablicy poświęconej wydarzeniom Czerwca '76 i nadania alei w parku „Leśniczówka” nazwy Senatora Zbigniewa Romaszewskiego, przemawia Stanisław Kowalski, prezes Stowarzyszenia Radomski Czerwiec '76, 24 czerwca 2016 r.

konujący, słaby artystycznie, że zrezygnowałem ze spotkania. Nie chciałem robić im przykrości swoimi uwagami, które i tak niczego nie mogły już zmienić.

Uczestniczyłem w obchodach rocznicy Czerwca '76, nie byłem tylko na koncertach pod urzędem miejskim, gromadzących przede wszystkim młodzież. Wyniosłem wrażenie, że radomianie pamiętający rok 1976 nie są nimi zbytnio zainteresowani. Wydawało mi się, że osób, będących tam niejako z obowiązku, było niekiedy więcej, niż tych, którzy przyszli z tzw. własnej nieprzymuszonej woli, w poczuciu solidarności z protestującymi wtedy ludźmi. Tłumaczy i usprawiedliwia do pewnego stopnia mieszkańców miasta upalna pogoda. We mszy odprawionej w niedzielę 26 czerwca w intencji bohaterów Czerwca '76 i księdza Romana Kotlarza, w samym środku upalnego dnia pod gołym niebem, brali udział prezydent Andrzej Duda, premier Beata Szydło, przedstawiciele rządu i episkopatu, sejmu i senatu RP. Siedziałem w ostatnim rzędzie, ale do końca uroczystości jak sądzę, jedna trzecia krzeseł pozostała pusta. Dla ważniejszych gości przygotowano biało-żółte parasole od słońca, widziałem przed sobą ich ruchomą, falującą powierzchnię, co jakiś czas ktoś z siedzących w pobliżu spoconych, zdeterminowanych upałem, udawał się w miejsce, gdzie rozdysponowywano owe parasole, i albo wracał z poczuciem docenienia i triumfalną miną, pod parasolem, albo z markotnym wyrazem twarzy, jeśli na parasol nie zasłużył. Uroczystość zakończyła się długim, szczegółowym apelem poległych w różnych czasach i okolicznościach i składaniem wieńców przed kamieniem węgielnym. Wróciłem spalony słońcem po prawej stronie twarzy, wyglądało to dość śmiesznie, ale niebawem przestało być widoczne.

Tego dnia wieczorem odbyła się w sali koncertowej szkoły muzycznej konferencja na temat powstania KOR-u, a po niej występ Jana Pietrzaka. Przed wejściem spotkałem prezesa

Stowarzyszenia „Radomski Czerwiec '76” Stanisława Kowalskiego. Zapytał, czy uczestniczyłem w głównych uroczystościach – od niego dostałem oficjalne zaproszenie (choć wpuszczano każdego, kto chciał). Odwróciłem ku niemu twarz: – A nie widać? – odpowiedziałem. Przyjrzał mi się i zaczął się śmiać.

Pietrzak, twórca legendarnego kabaretu Pod Egidą, śpiewał swoje dawne i późniejsze ballady, wśród nich, zawsze mnie poruszającą, Herbertowską w swoim duchu, ale z własnymi słowami, pt. „Bądź wierny”. Dodawał do nich długie komentarze odnoszące się do peerelowskiej i współczesnej rzeczywistości, do wydarzeń politycznych i samych polityków. Słuchając ich, czułem się skonsternowany, zażenowany poziomem żartów i złośliwości pod adresem ideowych przeciwników, nawet jeśli sam nie wszystkich darzę sympatią. Czekałem jednak wytrwale, zagryzając wargi, na pieśń „Żeby Polska była Polską” – hymn pierwszej Solidarności. Usłyszałem ją wreszcie na zakończenie, słuchałem ze wzruszeniem, z całą salą na stojąco, co prawda nie wypełnioną całkowicie ludźmi, raczej pustawą. Czułem, jak ożywają dawne emocje, kiedy podziały społeczne na swoich i obcych wydawały się, może nawet były, proste i oczywiste.

Zastanawiam się, jakie przedstawienie – realistyczne, figuralne czy sprowadzone do prostego znaku, mogłoby stać się symbolem, ikoną, jak zwykło się dziś mówić, radomskiego protestu z 1976 r., bo żadna z dwóch opisanych tutaj propozycji muralu – ta zrealizowana i ta wykorzystana na okolicznościowych drukach – nie spełniają moich oczekiwań i wyobrażeń. Obie wydają się w swojej wymowie zbyt ogólne, nieakcentujące specyficznego charakteru tego protestu bez przywódcy. Oglądałem publikowane wielokrotnie zdjęcia przebiegu protestu, zatrzymanych w kadrach scen, i dochodzę do przekonania, że symbolem tamtego marszu pod komitet jest przedstawienie grupy młodych robotników jadących na wózku aku-



Prace przy muralu na bloku przy skrzyżowaniu ulic Żeromskiego i 25 Czerwca, 15 czerwca 2016 r.



mulatorowym. Motyw ten, o czym wspominałem, został już wykorzystany na tablicy pamiątkowej odsłoniętej 25 czerwca tego roku. Zdaję sobie sprawę, że trudno tak skomplikowaną scenę sprowadzić do prostego motywu, czytelnego również w dużym pomniejszeniu. Być może jeszcze trudniej wykonać na podstawie fotografii pomnikową realistyczną rzeźbę z owym motywem. Aby sprostać takiemu wyzwaniu, potrzeba talentu, wyobraźni plastycznej na miarę Jerzego Jarnuszkiewicza, autora rzeźby przedstawiającej historyczny moment spotkania nowo wybranego papieża Polaka z prymasem Polski, stojącej na dziedzińcu KUL-u. Pisałem kiedyś o tym pomniku wykonanym na podstawie słynnej fotografii prasowej. Zresztą przedstawienie grupy robotników nie musi być przetransponowane na trójwymiarową formę rzeźbiarską. Nowe media i nowe technologie mogą podsuwać inne ciekawe rozwiązania spełniające funkcję pomnikowego upamiętnienia.

Choć od demontażu ustroju komunistycznego w naszej części świata minęło ćwierć wieku, odnoszę wrażenie, że możliwość mówienia publicznie tego, o czym w PRL-u szeptało się po kątach, pozostaje ciągle sytuacją, z którą nie

umiemy sobie poradzić: nie przywiązujemy wagi do formy wypowiedzi, byle była głośna, nawet gdy brzmi pretensjonalnie, w sposób egzaltowany. Dotyczy to w dużej mierze pomników. Nie wystarczy, mówiąc kolokwialnie, wrzucić do jednego worka symboli patriotycznych, religijnych i martyrologicznych, aby uzyskać upamiętnienie historycznych zdarzeń, skazanych niegdyś na przemilczenie i zapomnienie, które ożywiłoby naszą społeczną świadomość i wyobraźnię. Nachalność symboliki dopuszczonej wreszcie do głosu może okazać się irytująca i odnosić odwrotne niż zamierzone skutki. Tylko język sztuki, indywidualna forma i wyraz artystyczny mogą zapewnić pomnikowym przesłaniom wiarygodność w oczach dzisiejszych i przyszłych pokoleń.

Stanisław Zbigniew Kamiński
10 sierpnia – 11 września 2016 r.



Z notatnika malarza ikon Drabina (część XXI)

Michał Płoski

Spółeczną wypadkową lęku są zasieki z kolczastego drutu na granicach i rozbudowa przemysłu zbrojeniowego. Gorzkie owoce tchórzliwości przejawiają się także w relacjach codziennych, nacechowanych dystansem, wrogością. Z lęku bowiem rodzi się agresja.

Jak sobie radzić z lękami, których doznajemy? Ojciec Richard Rohr, znany amerykański przewodnik na drogach życia duchowego, zaleca, aby nie starać się zapanować nad nimi, ale, aby je w sobie zauważać, przyjrzeć się im. Nie należy utożsamiać siebie z lękami. Odwaga polega na odnajdywaniu swego człowieczeństwa, które jest czymś innym niż powierzchowna burza emocji. Rohr pisze: „Musisz zadać sobie pytanie, kim jest to „ja”, które posiada te uczucia? Żeby spotkać to „ja”, niezbędne jest wyruszenie w duchową podróż. [...] Wszystko, co musisz zrobić, to uciszyć się, unizżyć i opróżnić własne „ja” z nawału myśli i uczuć. Wówczas Bóg objawi się w nagiej teraźniejszości wszystkich rzeczy. To takie proste, a jednocześnie trudne do nauczenia”¹.

XXI rozdział *Drabiny raj* nosi tytuł „O niemęskiej tchórzliwości”. Jest ona, jak pisze św. Jan

Klimak, „odwróceniem się od wiary w oczekiwaniu niespodziewanego”. Gdy człowiek odrzuca Boga i stawia siebie samego w Jego miejscu, pojawia się lęk, który rozbudza wyobraźnię, odrywa od chwili obecnej, podsuwając wizje zagrożeń. Ów lęk zostaje przesłonięty agresją, manifestacją pewności siebie. To, co objawia się w świecie jako siła, władza, arogancja, zwykle podszyte jest lękiem. Klimak pisze: „Połączająca na sobie butna dusza jest niewolnicą tchórzostwa i boi się hałasu stworzeń, a nawet cienia [...]. Wszyscy tchórzliwi są zarozumiali”².

W innym miejscu czytamy: „Ci, którzy płaczą i żałują za występki, nie mają w sobie tchórzostwa”. Obraz ten, ukazując jako wzór postawy odważnej człowieka opłakującego swoje błędy, odbiega od modeli przyjętych w naszej kulturze. Wróćmy tu do zaleceń ojca Rohra, współbrzmiających z archaicznym tekstem Klimaka: „Pozbieraj swoje emocje i całą nieufność, aby oddać je Panu w akcie osobistej bezsilności. Powiedz: „Boże, nie potrafię się nie wściekać, nie potrafię zaufać!”. Oto twoje ogołocenie. Nazwij swoją wściekłość, przyznaj się do niej, ale nie utoż-

¹ Richard Rohr, *Prostota. Sztuka odpuszczania*, tłum. A. Koroliak, Kielce 2015, Wydawnictwo Charaktery, s. 45.

² Św. Jan Klimak, *Drabina raj*, tłum. W. Polanowski, Kęty 2011, wyd. M. Derewiecki, s. 227–228. Następane cytaty z tego samego źródła.

samiał się z nią ani nie pozwól, aby utożsamiała się z tobą. Taka wolność jest, według mnie, wspaniałym połączeniem dobrej psychologii z dobrą duchowością³.

Lęk i śmierć związane są ze sobą. Wyzwolenie z lęku prowadzi przez konfrontację ze śmiercią duchową i biologiczną, wymaga twardego realizmu, odarcia ze złudzeń przez poznanie własnych słabości oraz kruchości doczesnego życia. Pograżony w mroku cmentarz, obraz strywalizowany przez filmy grozy, był dla mnichów właściwym miejscem medytacji prowadzącej do przezwyciężenia lęku. Klimak pisze: „Nie obawiaj się przychodzić głęboką nocą do tych zwyczajowo przerażających miejsc [...]. Wyruszając, uzbrój się w modlitwę; dotarłszy, rozłóż ręce i bij wrogów Imieniem Jezusa, bo nie ma potężniejszego oręża w niebie i na ziemi”.

Natrafimy tu na kolejną wzmiankę o praktykowanej przez mnichów modlitwie Jezusowej. W nurcie duchowości związanym z tradycją tej modlitwy odrzucano metodę, która polegała na stawianiu czoła pokusom przez bezpośrednie odrzucanie ich. Jeden z poprzedzających Klimaka ojców – Jan z Gazy zwany Prorokiem, uważał, że tak mogą postępować silni, podobni do świętego Michała Archanioła. Zalecano postępowanie zbieżne z opisanym przez ojca Rohra, polegające na uświadomieniu sobie złych emocji, pokus, przy zaniechaniu bezpośredniej walki z nimi. „Nam słabym – pisał Jan Prorok – nie pozostaje nic innego jak schronić się w Imieniu Jezusa⁴. Powtarzanie w skupieniu tego „Imienia” prowadziło do wewnętrznego wyciszenia i wyeliminowania myśli, emocji czy pokus – bez walki.

Ta duchowość pierwszych wieków wydaje się bliska temu, co przyniosła święta naszych cza-

sów, siostra Faustyna Kowalska. „Jezu ufam Tobie!” – osobiste spotkanie, któremu pomaga obraz; medytacyjnie powtarzane wezwanie skierowane ku miłosiernemu Ojcu, przez pośrednictwo Chrystusa, który oddał za nas życie, przyjmując krzyż („Dla jego bolesnej męki – miej miłosierdzie dla nas i całego świata”).

Skupienie uwagi na osobie Jezusa pozwala nie angażować się w emocje, pokusy i uobecnia Tego, który jest miłością, światłem, zwycięzcą grzechu i śmierci. Usunięcie lęku prowadzi do poznania naszej rzeczywistej natury, egzystencji głębszej niż potok zanurzonych w doczesności myśli. W ciszy obecnej chwili możemy spotkać siebie w świetle nieprzemijającej miłości. Nie jest to jednak łatwa droga, gdyż związana jest z oderwaniem, z wejściem w śmierć, w agonię Chrystusa, aby wraz z Nim powstać. Przewodnikiem duchowym jest cierpienie: doznanie braku miłości, odrzucenia, śmierci bliskich osób, własna choroba i zbliżający się kres życia... Dla wielu cierpienie jest jedynym duchowym przewodnikiem. Zanurzenie w otchłań rozpaczy rozbudza pragnienie światła, które przynosi wyzwolenie. Uzyskana duchowa wolność owocuje odpowiedzialnością za nas samych, za bliźnich, za świat – za owe wspomniane na wstępie kolczaste druty, okalające serca i rozdzielające ludzi.

Michał Płoski

PS

W moich notatkach na marginesie kolejnych rozdziałów dzieła św. Jana Klimaka z VII w. próbuję dotykać fundamentów duchowości, niekiedy w kontekście zdarzeń aktualnych i tych z najnowszej historii, również tej, która rozpoczęła się w Radomiu w Czerwcu '76. I dziś świat nie jest wolny od niesprawiedliwości społecznej, przemocy, okrucieństwa, wojny. „Zmieńmy ten świat!” – mówi papież Franciszek, nie tylko do młodych. Potrzeba odwagi, ufności, wyciągniętych ku pojednaniu rąk...

Maria Anna Potocka Nowa estetyka



„Zmagania prawdziwego bezsensu z wymyślonym sensem to – obok walki o życie – główne zajęcie człowieka”.

Maria Anna Potocka

Kontrolowane chuligaństwo – kilka uwag o sztuce

Łukasz Prus

Nowa estetyka Marii Anny Potockiej to książka, którą w literaturze dotyczącej sztuki w ogóle, a estetyki filozoficznej w szczególności, można uznać za ewenement. To tekst, który adresowany jest do każdego czytelnika chcącego zrozumieć fenomen sztuki współczesnej, bez nieustannego wspomaganie się słownikiem terminów filozoficznych i estetycznych czy też sięgania do podręczników historii sztuki. Potocka podjęte zagadnienie analizuje ze szczególnej pozycji autorskiej, wynikającej, jak sądzę, z jej ponad 40-letniego doświadczenia zawodowego w organizowaniu wystaw, kierowaniu galeriami i muzeami (w 1972 r. Potocka otworzyła Galerię PI – pierwszą w Pol-

sce prywatną galerię sztuki, od 2010 r. do dziś jest dyrektorem Muzeum Sztuki Współczesnej w Krakowie MOCAK), uprawianiu krytyki oraz własnej sztuki. Autorka nie patrzy więc z perspektywy tysięcy książek dotyczących sztuki, lecz właśnie z pozycji osoby, która perypetie sztuki współczesnej w Polsce, i nie tylko w Polsce, obserwowała, będąc w sercu wydarzeń, tak często uznawanych za skandaliczne.

Gdy Potocka operuje w swojej książce pojęciami estetycznymi, nadaje im konkretne znaczenie, żadnego z nich nie pozostawia bez definicji, definicje zaś zawarła w małym słowniczku na końcu książki. To bardzo pomocne, ponieważ większości z tych pojęć czytelnik nie spotka we

³ Richard Rohr, *Prostota...* s. 45–46.

⁴ *Filokalia. Teksty o modlitwie serca*, tłum. ks. J. Namowicz, Tyniec 1998, Wydawnictwo Benedyktynów, s. 127, 128; por. także: *Mnich Kościoła Wschodniego, Modlitwa Jezusowa. Jej początek, rozwój i praktyka w tradycji bizantyńsko-słowiańskiej*, tłum. K. Górski, Kraków 1993, Wydawnictwo Benedyktynów, s. 23.

współczesnej literaturze estetycznej, a jeśli już, to w zgoła odmiennym znaczeniu.

Jak napisałem powyżej, Potocka przyznaje już w pierwszym zdaniu *Nowej estetyki*, że na jej kartach uprawia filozofię sztuki. To deklaracja, która stanowi zobowiązanie wobec czytelnika, a także jest zapowiedzią i jednocześnie uzasadnieniem perspektywy badawczej. Potocka operuje jednak szczególną interpretacją samego fenomenu sztuki i rozumie przez nią nie – jak to w bywało w dziejach estetyki filozoficznej – akt wytwarzania dzieła, szczególną umiejętność czy też zbiór dzieł, ale „aktywny światopogląd”, czyli metodę refleksji polegającą „na ustanowieniu własnego języka medialno-symbolicznego, który pozwala zmienić namysł w przedmiot i tym samym stworzyć odniesienie do dyskusji z sobą przez dzieło”. Potocka zastrzega jednak, że jej filozofia w ten sposób zdefiniowanej sztuki opiera się na dwóch elementarnych założeniach. Pierwsze z nich ma charakter inkluzywny, ale jednocześnie, w pewnym sensie, wyłączający ze zbioru sztuki wiele potencjalnych dzieł, i mówi, że sztukę – w sensie powyżej opisanym – tworzy się z powodów prywatnych, ponieważ sztuka jest w gruncie rzeczy narzędziem do uprawiania własnego – indywidualnego – światopoglądu, co uzasadnia upodobanie do idiosynkrazji, jakim charakteryzują się współczesne dzieła. Sztuka współczesna ma jednak charakter dialektyczny i rozgrywa się w napięciu pomiędzy prywatnością i publicznością. Tego właśnie, tj. publicznego sensu sztuki, dotyczy drugie założenie; zgodnie z nim „w sferze artystycznej prywatności pojawiają się stwierdzenia poznawcze o charakterze uniwersalnym”. Tak sformułowane założenia teoretyczne wyznaczają schemat, według którego w *Nowej estetyce* Potocka myśli o sztuce. W książce autorka wyróżnia sztukę prywatną, czyli twórczość niezakładająca korzyści wynikających z tworzenia przedmiotów, która jest tym samym wolna od kompromisu atrakcyjności oraz prób przypo-

dobania się krytykom i nabywcom, oraz sztukę publiczną, przez którą rozumie narzędzie krytyczne wobec sfery publicznej poprzez „wykorzystanie refleksji prywatnej zawartej w dziele do ingerowania w bieżące problemy kulturowo-cywilizacyjne”. Takie rozumienie pojęć estetycznych może mieć dla czytelnika charakter ambiwalentny. Według potocznego rozumienia sztuki jest nią to wszystko, co znajduje się w galeriach i muzeach, co trafia na wystawy, o czym piszą krytycy, co kupują kolekcjonerzy, co z biegiem czasu wchodzi do kanonu i znajduje swoje miejsce w podręcznikach historii sztuki. Tak rozumiana sztuka pokrywa się z pojęciem sztuki publicznej w rozumieniu zaproponowanym przez Potocką. Ale to tylko niewielka część tego, co autorka nazywa sztuką. Co więc decyduje o tym, że spośród ogromu dzieł sztuki jakaś praca zyskuje publiczną ekspozycję?

Właśnie tego zagadnienia dotyczy znaczna część *Nowej estetyki*, bowiem autorka zdaje sobie sprawę z problemów, z jakimi borykają się odbiorcy – czy też osoby próbujące być odbiorcami – sztuki współczesnej. I proponuje Potocka ujęcie wynikające z wieloletniej praktyki zawodowej. Chodzi przy tym nie tylko o coraz bardziej idiosynkratyczną formę dzieł, ale też o ich treść, z uwagi na które należy oceniać wartość produkcji artystycznej. Rozumiejąc sztukę jako szczególne narzędzie kultury – czyli „instrument wprowadzający symbole i komentarze wypracowane w różnych dziedzinach cywilizacyjnych w obszar światopoglądu i etyki” – Potocka podkreśla krytyczny sens funkcjonowania sztuki, a jednocześnie na dalszym planie pozostawia to, co jeszcze na początku XX w. uznawane było za podstawowy element konstytuujący przedmiot jako dzieło sztuki, tj. obecność wartości estetycznych, zazwyczaj zbiorczo ujmowanych jako piękno. Otóż, zdaniem Potockiej, sztuka współczesna nie jest tożsama ze sztuką piękną, ponieważ o jej wartości stanowi ładunek ideolo-

giczny, co oczywiście nie wyklucza obecności wartości tradycyjnie uznawanych za przysługujące sztuce, a dziełu, w którym zawarta jest „piękna obecność znaczenia”, przynależą miejsce pierwsze, także w galeriach sztuki najnowszej. Zadaniem, jakie kultura czy może raczej współczesny artworld stawia przed artystami, jest atak na powszechnie obowiązujący światopogląd, który Potocka nazywa paradygmatem. Paradygmat to, zdaniem autorki *Nowej estetyki*, intuicyjna wiedza społeczna, zespół zasad – przeniesionych, objawionych, ustalonych lub wykreowanych – który wpływa na zachowanie i postawę ludzi w sposób podświadomy, przypominający działanie praw natury. Paradygmat tym samym, co postuluje Potocka, wymaga permanentnego odświeżania, które najczęściej polega na oczyszczaniu go z przekłamań pojawiających się pomiędzy tym, co jest otwarcie deklarowane, a tym, co jest skrycie uprawiane. Ponieważ zaś działanie paradygmatu przypomina działanie praw natury, jego krytykowanie możliwe jest jedynie z pozycji outsidera, którą od wieków przyjmują artyści. Na temat powszechnie obowiązującego paradygmatu autorka często wypowiada się krytycznie, równie często podkreślając, że kultura, w której żyjemy, wypracowała szereg środków obronnych przeciwko zmianom w paradygmacie, dostarczając ludziom narzędzi do osiągnięcia stanu samozadowolenia, tłumiącego wszelką refleksję, zabijającego twórczość. Tym większą wagę – z punktu widzenia kultury i jej rozwoju – mają artyści, którzy tworzą, jak już zasygnalizowałem powyżej, z powodów prywatnych, czyli decydują się na nadanie swojej egzystencji formy twórczej. U podstawy takiej decyzji, co Potocka podkreśla, leży szczególny stan, który nazywa autorka rozdrażnieniem egzystencjalnym. Sztuka okazuje się w tym ujęciu szczególnym *modus operandi* człowieka jako gatunku; człowiek bowiem jest jedynym gatunkiem, który zyskał świadomość i samowiedzę o własnej kondycji, a jednocześnie

nie jest w stanie pogodzić się z obiektywnymi uwarunkowaniami. To dla Potockiej punkt wyjścia wszelkich postaw twórczych, który najczęściej wiąże się z krytycznym odniesieniem do wszystkiego, co ogranicza poczucie swobody, blokuje samorealizację, wprowadza manipulację, stosuje dominację. „Jednak rozdrażnienie egzystencjalne nie dotyczy wyłącznie działań ze strony innych. Jego przyczyną są również uwarunkowania biologiczne: płeć, niedoskonałość fizyczna, przemijalność, samotność. Twórczość jest narzędziem służącym rozładowaniu tego rozdrażnienia, ale przede wszystkim pomagającym zrozumieć jego uwarunkowania i nawet zmienić je w specyficzną siłę”, pisze Potocka w *Nowej estetyce*. I w tej perspektywie zrozumiałe staje się to, co nie bez powodu kojarzone jest ze sztuką współczesną. Szok, skandal, wstrząs – dążenie do ich wywołania jest jednym z podstawowych zadań, jakie Potocka przypisuje sztuce współczesnej, co w jednym z wywiadów określiła mianem „chuligaństwa”: „Chuligaństwo – kontrolowane i intelektualizowane – jest konieczne w kontekście sztuki. Człowiek sztuki nie może być zamknięty ani sfanatyzowany. Musi uznać obce sobie zachowania seksualne, słowne czy etyczne jako pełnoprawne. Artyści to ludzie od zadawania bólu. Trzeba umieć to przyjąć. Sztuka to wyrafinowane chuligaństwo. Czym innym jest danie w mordę rzeczywistości, a czym innym danie w mordę człowiekowi. Rzeczywistość na to zawsze zasługuje”.

To tylko kilka uwag o sztuce współczesnej, które Potocka formułuje w swojej książce, *Nowa estetyka* zawiera ich znacznie więcej, a każdą z nich można odczytywać jako zawalowaną formę polemiki ze zdaniem Artura C. Danto, które autorka wybrała na motto swojego tekstu, mówiące, że „sztuka jest dziedziną, której istnienie determinują teorie”.

Ale najbardziej zadziwiające w *Nowej estetyce* jest może nie to „praktyczne” ujęcie podjętego tematu, ale język, w którym Potocka ar-

tykułuje swoją filozofię (bo jest to, jak autorka przyznaje już w pierwszym zdaniu tekstu, właśnie filozofia sztuki). Nie jest to fraza, która znamy z książek współczesnych filozofów, ani gadanina, która często dziś, niestety, wypełnia znaczną część tekstów krytycznych. W mojej opinii Potocka pisze prosto, przejrzysto, bardzo rzadko operuje zdaniem wielokrotnie złożonym, co sprawia, że czytelnik może odnieść wrażenie, że czytając *Nową estetykę*, nie obcuje z szarlatanem, ale z kimś, kto naprawdę wie, o czym mówi, ponieważ mówi prosto, całości wywodu nadając strukturę bezwzględnie

logiczną, a wypowiedź zamykając w lakonicznych konstatacjach. Czytając książkę Potockiej, nie sposób nie pomyśleć: „jeszcze!”, jednak nie pozostaje nic innego, jak ponownie, z większą uwagą, odczytać kolejne ustępy, żeby dostrzec wagę treści zapisanej tymi krótkimi zdaniami.

Łukasz Prus

Maria Anna Potocka, *Nowa estetyka*, Wydawnictwo Alatheia, Warszawa 2016.

Wulkan na wyciągnięcie ręki

Anna Spólna

4 września poznaliśmy laureatów radomskiej Nagrody im. Witolda Gombrowicza za debiut prozatorski (rozumiany szeroko, jako pierwsza lub druga książka autora). Zostali nimi *ex aequo* Weronika Murek i Maciej Hen. Powieść historyczna tego drugiego, *Solfatarą*, osadzona w realiach XVII-wiecznego Neapolu, to właśnie „drugi debiut”. Utwór doceniło także jury „Angelusa”, wprowadzając go do ścisłego finału konkursu. Już wcześniej, w Plebiscycie Warszawskiej Premiery Literackiej na Książkę Roku 2015, uhonorowano *Solfatarę* główną nagrodą.

1. Tytułowa Solfatarą jest wulkanem niezwykłym, bo dostępnym: siarkowe wyziewy wydobywają się z płaskiego krateru, przez starożytnych utożsamianego z wejściem do Hade-

su. Jej bliskość nabiera w powieściowym Neapolu symbolicznego znaczenia. Hen w czytelny sposób eksponuje analogie pomiędzy geologią, psychologią i polityką. Wskazuje na siłę ludzkich namiętności, niepowstrzymanych, odsuwających na bok boskie i ludzkie przykazania oraz zasady zwykłej przyzwoitości.

Kobiety w powieści Hena mają namiętność we krwi. Seksualne rozpasanie (w przypadku Donny Svevy) lub po prostu hedonistyczne traktowanie ciała jako źródła radości i zarobku (tajemnicza Fiammetta czy Maltanka, prowadząca jeden z lepszych zamtułów w mieście) są dla narratora naturalnym składnikiem ludzkiej natury. Dużo bardziej krytycznie ocenia namiętne pragnienie władzy, pasję buntu, która daje upust frustracjom, pękającym jak wrzód. Te wulkaniczne wyziewy są trujące: Petrelli obserwuje uniwersalne mechanizmy rewolucyjnego przejścia władzy na przykła-

dzie losów rybaka Masaniella jako obłąkanego dyktatora, dotyka wynaturzeń, które rodzą się z poczucia wszechmocy. Antysemityzm, prześladowania religijne, zezwierzęcenie tłumy idą krok w krok za słusznym protestem biedaków.

2.

Akcja *Solfatarą* rozgrywa się w lipcu 1647 r., kiedy w Neapolu rozwścieczony nowymi podatkami lud przejmując kontrolę nad stolicą. Książka relacjonuje pierwszych dziesięć dni rozruchów, którym odpowiadają kolejne rozdziały opasłej, ponad 900-stronicowej powieści. Fortunato Petrelli, 50-latek, drukarz i dziennikarz w jednym, znajduje się w samym centrum tych gorących wydarzeń, a jednocześnie nocami spisuje swoje burzliwe losy „dla potomności”. Pierwszoosobowa narracja prowadzona jest nader tradycyjnym trybem, co dobrze współgra z pieczołowitym nawiązaniem do realiów sięgających kilka dziesiątków lat wstecz od centralnego wydarzenia powieści – rewolty biedaków, która w kilka dni zburzyła porządek miasta, zmieniła się w powstanie niepodległościowe i skąpała Królestwo Neapolu w morzu krwi.

Konstrukcja książki wzorowana jest na klasycznym modelu szkatułkowej opowieści, pełnej retrospekcji, mieszczącej w sobie wiele zagadkowych lub niesamowitych historii. Czytelne nawiązania do Giovanniego Boccaccia, Miguela de Cervantesa, Jana Potockiego oraz – poprzez postać polskiego szlachcica Stefana Ligęzy – do *Crimen*, powieści Józefa Hena (ojca pisarza), wzmacnia wyraźna stylizacja językowa, która, przynajmniej, wydała mi się zbędna.



Solfatarą to powieść akcentująca starą prawdę: *nihil novi sub sole*, i w tym przede wszystkim upatruję jej znaczenia.

3.

Petrelli, jak przystało na redaktora i wydawcę gazety, zna wszystkich, ale najchętniej przestaje z artystami. Malarze Didier Barra i François de Nomé są jego przyjaciółmi, podziwia kompozycje twórcy madrygałów Carlo Gesualda, księcia Venosy. Bohaterowie z upodobaniem wspominają spotkania Akademii pani Sarocchi, koncerty i przedstawienia teatralne, w rozpolitykowanym

mieście prowadzą dyskusje na temat obrazów i książek. Muzyka i malarstwo górują zresztą nad literaturą, co wydaje się znamienne. Hen próbuje uchwycić moment, w którym oddaje ona pole prasie – a gazeta jako szybkie źródło bieżących informacji, pożądane w burzliwych czasach, to jednocześnie potężne narzędzie manipulacji. Ciemna strona tego procesu to niejedyny wątek powieści, który jawi się jako krytyczny komentarz do współczesności. Czytając fragmenty poświęcone rozkwitowi propagandowego biuletynu rewolucjonistów, nie sposób uniknąć skojarzeń z dziedzictwem XX-wiecznych totalitaryzmów, tabloidyzacją mediów i agresją krzykliwych internetowych newsów.

4.

Niespokojni bohaterowie *Solfatary* są w ciągłym ruchu. Szukają szczęścia, a nade wszystko prawdy o sobie. Niepewne pochodzenie, konwersja, zerwane więzi składają się na kluczową dla Hena kwestię tożsamości. Ten ważny wątek zrealizowany został jednak na sposób aż nazbyt sensacyjny. Pisarz zadbał, by nawet ci czytelnicy, których nie pociąga kronika rewolucji, nie znużili się lekturą. W warstwie retrospektywnej znajdują dzieci z nieprawego łoża, mezalianse, porwania, zdrady i uwięzienia, które mnożą się ponad miarę, choć trzeba przyznać, pisarz opiera się głównie na historycznie poświadczonych faktach. Petrelli docieka więc prawdy o swoim pochodzeniu, tropi tajemniczą kochankę, poznaje losy niezwykłej arystokratki Donny Svevy d'Avalos, która żyje wbrew temu, że została pochowana kilka lat wcześniej, chce zgłębić przyczyny śmierci swojego przyjaciela Didiera. Styka się z szeregiem kłamstw i półprawd, niemało pytań pozostanie zresztą bez odpowiedzi.

Historia, polityka i miłość mieszają się z przyziemną walką o byt, poszukiwaniem swojego miejsca w świecie, które nie raz zmie-

nia się w ucieczkę. Redaktor przemierza rewolucyjny Neapol wzdłuż i wszerz, a we wspomnieniach bohaterów mnóstwo jest podróży – od włóczęg po wyprawy przez całą Europę (Rzym, Paryż, Metz...). To eksponowanie nomadyczności wydaje się kolejnym rysem współczesną XVII-wieczną opowieść.

5.

W powieści Hena piękno splecione jest z okrucieństwem. Zmysłowy obraz rzeczywistości oznacza także uplastycznienie scen rzezi i egzekucji. Uderza bogactwo szczegółów i wiarygodnie oddany koloryt miejsc akcji, dzięki czemu globalne (w granicach ówczesnego wyobrażenia o świecie) wzbogaca się o lokalne (świetny epizod z wywłaszczeniem mieszkańców kamienicy, by trybun ludowy mógł wznieść siedzibę godną swej nowej funkcji). Rzeczywistość w stanie maksymalnego wrzenia, skupiona w dziesięciu dniach rewolucji, zestawiona jest z długim trwaniem pamięci i sztuki. O tej naprzemiennej zmianie optyki, ze skali makro na mikro, jako zasadniczym rysem książki, mówił w swojej radomskiej laudacji profesor Jerzy Jarzębski.

Mamy więc polityczne intrygi koronowanych głów i ludzką stopę zatkniętą na grocie piki. Jest pierwszy tyk kawy, jednego z tych napojów, który najpierw odstręcza, a później zaczyna smakować, by uzależnić na zawsze. I smakowity opis neapolitańskiej pizzy (bohater łapczywie spogląda na „kolistą blachę z rumianym plackiem pszennym, przybrany [...] plastrami pummaroli, które przebły skiwały szkarłatnymi ognikami spod zapieczonego sera”), której oszałamiająca kariera zaczyna się w małej traktierni Marii.

Anna Spółna

Maciej Hen, *Solfatara*, Wydawnictwo WAB, Warszawa 2015.



foto Lidia Ziemińska

Malarstwo Uty Przyboś-Christiaens w Kozienicach

Lidia Ziemińska

Kozienicka wystawa prac Uty Przyboś-Christiaens prezentuje dwa cykle poliptyków zatytułowanych „Pieczęcie” i „Z tej ziemi” oraz z cykl obrazów pod wspólnym tytułem „Po”.

Tematem „Pieczęci” jest człowiek – jego zwielokrotniony i niekończący się przez swą powtarzalność wizerunek. Są to szeregi malowanych w ekspresyjny sposób głów. Nie są to jednak portrety dosłowne, a raczej ich symboliczne wyobrażenia. Niektóre zostały umieszczone na złotym tle, nawiązując do ikony albo wyobrażeń postaci w średniowiecznych poliptykach. Część z nich krzyczy, inne patrzą na nas. Jeden spośród wielu obrazów został zastąpiony lustrem i pozwala nam dołączyć poprzez własne odbicie do tego szeregu bezimiennych... „Pieczęcie” można róż-

norako odczytywać – ja czytam je jako zapis bytności człowieka na ziemi, ślad, jaki po sobie pozostawiamy. Inną interpretacją może być znak, jaki pozostawiamy po sobie w pamięci innych osób. Wizerunki są bardzo różne, tak jak różne są typy osobowości. Tworzą kolorową mozaikę postaci. Niektóre są wyraźne, mocno zapisane i silnie kontrastujące z tłem, inne rozmywają się, rozmywają, są jak obraz w telewizorze, który śnieży. To utamki śladów, wrażeń, jakie po nas zostają w pamięci innych. Są też białe wizerunki na białym tle... Zaś lustro i jego bogata symbolika pozostawiają miejsce dla wyobraźni.

Najbardziej poruszył mnie cykl „Pieczęcie” – w Kozienicach zaprezentowano je jako cykl trzech poliptyków, z których dwa największe składają się z dwudziestu kilku obrazów w for-



Uta Przyboś-Christiaens, cykl „Pieczęcie”

fot. Lidia Ziemnińska



fot. Lidia Ziemnińska

Uta Przyboś-Christiaens, cykl „Pieczęcie”

macie kwadratu. Taki format umożliwia artyście swobodne komponowanie poliptyków w zależności od wnętrza, w którym są wystawiane. Prace wykonane są w technikach mieszanych: olej i akryl, malowane na płytach pilśniowych.

Człowiek jest też tematem drugiego cyklu: „Po”. To zestaw obrazów – portretów wykonanych farbami olejnymi na płytach o nietypowym formacie wieloboków. W większości przypadków mają kształt typowy dla pokryw trumiennych, co stanowi nawiązanie do sztuki sepulkralnej i w pewnym sensie do portretów trumiennych XVII-wiecznej Polski. Tymi nawiązaniem Uta Przyboś-Christiaens prowadzi dialog z tradycją, z kulturą. Portrety przedstawiają ponadczasowe twarze kobiet, mnie skojarzyły się z wizerunkami z Fajum z pierwszych wieków naszej ery.

Ostatni cykl tej wystawy nosi nazwę „Z tej ziemi”. To realistycznie malowane portrety, zamknięte, podobnie jak „Pieczęcie”, w formę poliptyku, w którym niektóre kwatery zostały zamalowane błękitem z lekko zaznaczoną formą głowy.

Jak napisano w towarzyszącym wystawie folderze, artystka „szuka, jak poprzez widzialne można ukazać i niewidzialne”.

Uta Przyboś-Christiaens ukończyła Królewską Akademię Sztuk Pięknych w Brukseli i ASP w Warszawie na wydziałach malarstwa, ze specjalizacją dodatkową z rzeźby. Uczestniczyła w wystawach zbiorowych w Polsce, Niemczech i Belgii. Prezentowała też swoje prace na wystawach indywidualnych w Polsce (Warszawa, Rzeszów, Kielce) i w Stanach Zjednoczonych. Jej obrazy znajdują się w zbiorach w Polsce i za granicą.

Tworzy cykle prac, m.in. „Odejsia”, „Konie Apokalipsy”, „Pieczęcie”, „Po”, „Nosorożce GMO”, „Z tej ziemi” i inne.

Posługuje się techniką olejną, pastelem olejnym i technikami własnymi.

Zajmuje się też poezją, dotychczas ukazały się cztery tomiki wierszy: *nad wyraz*, *A TU TAK*, *Stopień*, *Prosta*. Publikuje w pismach literackich: „Twórczości”, „Odrze”, „Akcencie” i innych.

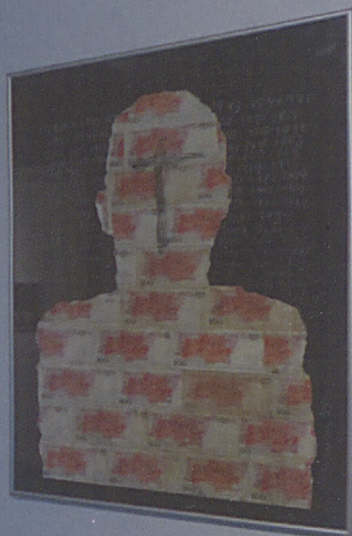
Zajmuje się również architekturą wewnątrz.

Lidia Ziemnińska

Uta Przyboś-Christiaens „Malarstwo”, Muzeum Regionalne w Kozienicach, 16 września – 23 października 2016 r.

„Orzeł biały na tle nerwowym” – wystawa rysunków Krzysztofa Mańczyńskiego

Lidia Ziemińska



Wystawa składa się z tematycznie pogrupowanych prac: „Pamięć”, „Człowiek”, „Otoczenie”, z lat 1967–2016. Jest ich 86 oraz 4 większe kolaże na początku ekspozycji, jeden z nich (z 2003 r.) dał tytuł całej wystawie. Najwcześniejsze rysunki powstały w trakcie przygotowań do dyplomu w pracowni ilustracji książkowej prof. Jana Marcina Szancera na Wydziale Grafiki ASP w Warszawie (gdzie Mańczyński studiował w latach 1962–68). Były to rysunki do opowiadania Aleksandra Sołżenicyna *Jeden dzień Iwana Denisowicza* oraz ilustrujące powieść Curzio Malapartego *Kaputt*. Już w tych wczesnych rysunkach widać niezwykłą ekspresję – wykonane pędzlem i tuszem, choć czarno-białe, są bardzo malarskie. Artysta posługuje się w nich bardziej plamą niż kreską, tło przechodzi w czerń nocy, zaś kreska pojawiająca się na białym tle jest „nerwowa”. Potem powstają prace na temat getta, rysunki polityczne z lat 80., cykl „Kobiety z Bośni” (1992–93), pejzaże miejskie i pejza-

że bieszczadzkie. Mańczyński używa różnych narzędzi do tworzenia rysunków. Jest to, jak już wspomniałam, pędzel i tusz, ale też piórko, ołówki czy zwykły długopis, którego kreska zazwyczaj daje ślad bardziej mechaniczny, mało zróżnicowany. Jednak artysta w mistrzowski sposób wykorzystuje wszystkie możliwości, jakie daje warsztat rysownika, by zbudować własny świat. Mnie zachwyciły pejzaże. To prace z lat 1969–2016 o charakterystycznym sposobie komponowania, gdzie elementy przedstawiające i abstrakcyjne budują piękną, przekonującą całość. W rysunkach bieszczadzkich pejzaże wypełniają snopy siana z drągami, słupy telegraficzne, krzaki, drogi. Zdaje się, że Mańczyński zauważa tylko „najpotrzebniejsze” znaki i umieszcza je w swoich dynamicznych pejzażowych kompozycjach o różnych rytmach. Część rysunków wykonana jest tuszem, część w ołówku. W tych rysowanych ołówkiem używa często przecierek gumką, dzięki czemu stają się lżejsze, pełne powietrza.



Krzysztof Mańczyński rysunki z cyklu „Kobiety z Bośni”

Równie piękny jest cykl pejzaży z domami z lat 1992–2016. Koronkowe ganki drewnianych domów sąsiadują tu z murowanymi kominami. Domki z szeregiem nadbudówek i przyklejonych do nich mansardowych dachów tworzą ów niespokojny pejzaż miejski, uzupełniony o liczne wieżyczki. Artysta zde-rza ze sobą różne struktury zauważone w pejzażu małych i dużych miasteczek czy też wsi. W dwóch pracach zatytułowanych „Miasto Plus” z 1991 r. autor wykorzystuje technikę kolażu, by zbudować kompozycje podobne do dawnych wedut, w których budowle rzeczywiste mieszały się z fantastycznymi, stworzonymi w wyobraźni autora.

W zupełnie inny świat wprowadzają nas prace z lat 80., wykonane długopisem; to zapis „szaleństwa” rządzących i nadużywania władzy. Rysunki z tego czasu są surrealistyczne, ale też pełne różnego rodzaju symboli. Reprezentują automatyzm rysowania, te różne esy-floresy stanowią interesujące tło dla postaci w nich występujących, tych wysuwają-

cych się na pierwszy plan w przenośni i dosłownie. Najbardziej przejmujące zdają się dwa rysunki „Getto” czy trzy należące do cyklu „Kobiety z Bośni”; obrazy wojny, ewokujące ból, przerażeniem, gwałtem, bezsilnością wobec przemocy.

Rysunki z okresu niemal 50 lat pozwalają prześledzić artystyczną drogę Krzysztofa Mańczyńskiego, dostrzec zmiany formalne, jakie zachodziły w jego twórczości w tym czasie. Łączy je duży ładunek ekspresji, swoboda formalna, oryginalność wykreowanego świata.

Lidia Ziemińska

Wystawa rysunków Krzysztofa Mańczyńskiego „Orzeł biały na tle nerwowym”. Mazowieckie Centrum Sztuki Współczesnej „Elektrownia” w Radomiu. Kurator Mariusz Jończy.
9 września – 16 października 2016 r.

Kurator
Stanisław Zbigniew Kamiński



W Galerii MP pokazujemy tym razem plakaty, a właściwie afisze (gdź informacje szczegółowe dominują w nich nad rozwiązaniami plastycznymi), które pokazały się na ulicach Radomia w związku z 40. rocznicą robotniczego protestu 25 czerwca 1976 r. i zachęcały mieszkańców do udziału w różnego rodzaju imprezach i uroczystościach, spotkaniach, dyskusjach i działaniach odnoszących się do tamtych wydarzeń, ich pamięci i interpretacji. Autorzy projektów nie są na ogół znani, poza pierwszym z prezentowanych tu afiszów do imprez pod hasłem *Przesłanie Radomskich Rocznic*, autorstwa Cezarego Jędrzejewskiego, oraz dwóch wydanych przez Urząd Miejski w Radomiu, w których wykorzystano konkursową propozycję na mural, autorstwa Dawida Celaka.

Mam nadzieję, że afisze, obecne w tamtym czasie przez kilka tygodni w przestrzeni publicznej miasta, ożywią naszą pamięć o rocznicowych wydarzeniach, których byliśmy mimowolnymi obserwatorami, świadkami czy też uczestniczyliśmy w nich i przeżywalimy je.

PRZEŚLANIE RADOMSKICH ROCZNIC

25-lecie pobytu św. Jana Pawła II w Radomiu 40-lecie Radomskiego Czerwca

Niedziela 29.05, godz. 18:00
RAJUCURACJA:
Masa angli
Przewiecin czarna i biała: Ka. Białka Hanny TOMASIK.
Po Międzywielu (późniejsza) J. Ziela ROMASZEWSKA.

Poniedziałek 30.05, godz. 11:00
Axiu - Gabriela Urwersyelu Technologiczno-Miastanizyjnego ul. Chętnego 31
(sesja współorganizowana przez Samorząd Studenci UTH)
Prof. dr hab. Marek WIERZBIŃSKI: Robotniczy protest w Radomiu 25 czerwca 1976 r. i następny opozycji politycznej w Polsce i Rzeczypospolitej Ludowej
Ka. dr Szczerban KOWALIK: Testowca śmierci ka. Romana Kotarza. Film dokumentalny... i docho oalb spocznia w grolat
godz. 19:00: Rodziki domy (warsztat) ul. Grzybowska 22
Prof. dr hab. Marek WIERZBIŃSKI: Robotniczy protest w Radomiu 25 czerwca 1976 r. i następny opozycji politycznej w Polsce i Rzeczypospolitej Ludowej
Ka. dr Szczerban KOWALIK: Testowca śmierci ka. Romana Kotarza. Film dokumentalny... i docho oalb spocznia w grolat

Wtorek 31.05, godz. 19:00
Polski DIALOG: Dialog społeczny podjętów realizację praw pracowniczych
Dr Barbara FEDYSZAK - RADZEJKOWSKA: Pracownik obywateli.
Polski: Solidarne wspomnie sprawniawie państwo

Środa 1.06, godz. 19:00
Pisani parlamentaryzacji:
Marek SŁOŃSKI (PS), Leszek RUSZCZYK (PO), Robert MORDAK (Kukot'15)

Czwartek 2.06, godz. 11:00
Spotkanie dla młodzieży
Ka. Tomasz KANCELARCZYK: Zaangażowanie młodzieży pro-life
godz. 19:00
Marek JUREK: Czym jest życie i wstawiennictwo polskiego narodu
Ka. Tomasz KANCELARCZYK: Dzieło charytatywne Kościoła w kształtowaniu życia ludzkiego

Masa św. na inaugurację Tygodnia Społecznego w kościele św. Józefa (Grzybowska 22)
Pamiętnikowe spotkanie o godz. 11, w sali głównej UTH. Poszczególne spotkania w oratorium (dolny kościół). Na wszystkie spotkania wstęp wolny.

ORGANIZATORZY: PATRONAT HONOROWY: PATRONAT MEDIALNY:

IX TYDZIEŃ SPOŁECZNY Radom, 29.05.-2.06.2016r.
Kościół MB Królowej Świata, ul. Grzybowska 22

ANIMA URBIS DUSZA MIASTA

18/19 CZERWCA 2016

wydarzenie pod patronatem honorowym
Prezydenta Miasta Radomia **Radosława Witkowskiego**

ZAPRASZA OŚRODEK KULTURY I SZTUKI „RESURSA OBYWATELSKA”
Już po raz szósty zapraszamy do poszukiwania magicznych, ciekawych i inspirujących miejsc w przestrzeni miejskiej, miejsc związanych z historią Radomia. W tym roku, ze względu na 40. rocznicę Radomskiego Czerwca 76 chcemy przybliżyć klimat tamtych lat.

Godz. 20.00 Regionalna Dyrekcja Lasów Państwowych (ul. 25-go Czerwca 68)
„Partia przewodnią się...” - pokaz filmów, zdjęć archiwalnych ukazujących Radom w PRL

Godz. 20.30 muzyka koncertowa w parku im. Kościuszki
„Pust wsiędy budiat sence” - koncert piosenek wykonywanych w latach 70. na Festiwalu Piosenki Rodziekiej i Zielonej Gorze i Festiwalu Piosenki Ziemskiej w Kolobrzegu

Godz. 21.15 fontanny, ul. Żeromskiego
„Motylem jestem” - koncert przebiegów lat 70. pokaz mody z tamtych lat przygotowany przez studentów UT H. najlepsze ścieżki kabaretowe PRL

Godz. 23.00 plac przed stadionem na ul. Narutowicza
„Chłopy z placu Broni” - prezentacja dawnych ul. i ruwinów, przypomnienie historii RKS „Broni”, inscenizacja wyścigu Pokoju, koncert grup „Radom Brass Band Project”, „Buffalo” i „Grupa RC”

Godz. 24.00 plac przed dawnymi Zakładami Metalowymi (ul. Przemysłowa)
„Wywii muram...” - prezentacja filmu o Radomskim Czerwcu 76, koncert poląconych radomskich chórów w fokdzie uczestników Czerwca i twórców KDR

Wszystkie godziny „Anima Urbis”, poza godziną rozpoczęcia imprezy, podawane są w orientacyjnie (plus/minus 15 minut). Po zakończeniu imprezy około godz. 1.00 (19 czerwca) uczestników imprezy odwiozą bezpłatnie autobusy w dwa kierunkach: Celebów i Ustronie/Południe.

Organizator: Partnerzy: Sponsorzy: Patronat medialny:

ZACZĘŁO SIĘ W RADOMIU CZERWIEC '76 3-30 VI

Obchody
40. rocznicy Radomskiego Czerwca

17.06 godz. 8:00-12:00

KONAJ FILMÓW „DNY ULICZNY”

Miejsce: ul. Żeromskiego 56

18.06 godz. 12:00

OTWARCIE WYSTAWY „RADOM W PRL”

Miejsce: ul. Żeromskiego 56

18.06

godz. 15:00

PIKNIK HISTORYCZNY

„WITRYNA RADOMSKICH BUNTÓW”

Miejsce: ul. Żeromskiego 56

19.06

godz. 10:00

PÓLMARATON RADOMSKIEGO

CZERWCA '76 Miejsce: Ulica Radomska

19.06 godz. 18:00

CZYTAŃE Z INSCENIZACJA POWIEŚCI

„WOLICHA PEŁSTI” Piosenki i taniec

Miejsce: ul. Żeromskiego 56

22.06 godz. 12:00

POKOSZENIE KOPUŁY KRAJOWEJ

„KSIĘZ „SOLIDARNOSCI” W REGIONIE ZIEMIA RADOMSKA

Miejsce: ul. Żeromskiego 56

24.06

godz. 18:00

OTWARCIE WYSTAWY FOTOGRAFII

„KONKURSY SUBSIDIARIA „ULIARANE MASTO”

Miejsce: ul. Żeromskiego 56

godz. 18:00

NADANIE NAZWY ALEI Z ROMASZEWSKIEGO

ORAZ ODSŁONIĘCIE PAMIĄTKOWEJ TABLICY

Miejsce: ul. Żeromskiego 56

25.06

godz. 13:00

UROCZYSTA

MSZA ŚWIĘTA - PAMIĘCI BOHATERÓW CZERWCA '76 I KS. ROMANA KOTLARZA

Miejsce: Świątynia w ul. 25 Czerwca 15, Radomsko

godz. 19:00

„MUZYCZNA

DROGA DO WOLNOŚCI” cz. I

Miejsce: Plac przed Urzędem Miejskim przy ul. Żeromskiego

26.06

godz. 20:00

„MUZYCZNA

DROGA DO WOLNOŚCI” cz. II

Miejsce: Plac przed Urzędem Miejskim przy ul. Żeromskiego

29.06

MIĘDZYNARODOWY WYŚCIG KOLARSKI „SOLIDARNOSCI” I OLIMPIJCZYKÓW

Trasa: RADOM - KROSNO

Miejsce: Ulice Radomia

17.06

FESTIWAL FOLKOWY „CZERWIEC '76”

Miejsce: ul. Żeromskiego 56

22.06 godz. 9:00

MIĘDZYNARODOWA KONFERENCJA NAUKOWA

„MIASTA BUNTU W IMPERIUM SOWIECKIM”

Miejsce: ul. Żeromskiego 56

godz. 18:00

ANIMA URBIS NOKNE ZWIĘZANIE MIASTA

Plac przed 1983

godz. 19:00

WIDOWISKO MUZYCZNE

„RADOMSKI CZERWIEC WOLNOŚCI”

WYSTĄPIA GWARZYŃ POLSKIEJ SCENY MUZYCZNEJ

Miejsce: Plac przed Urzędem Miejskim przy ul. Żeromskiego

23.06 godz. 19:00

KONCERT ZESPOŁU PIESNI I TANCA

„ŚLĄSK” - „BOHATEROM CZERWCA '76”

Miejsce: ul. Żeromskiego 56

godz. 21:30

OTWARCIE SCIEŻKI ODDARTYCZNEJ

„ŚLADAMI RADOMSKIEGO CZERWCA '76”

Miejsce: ul. Żeromskiego 56

godz. 18:00

KONFERENCJA „BUNT ROBOTNIKÓW - PAMIĘĆ I ZOBOWIĄZANIE”

KONCERT J. PIETRZAKA

Miejsce: ul. Żeromskiego 56

godz. 19:00

MAŁGORZATA OSTROWSKA z ZESPÓŁEM

RÓŻE EUROPY

TOMEK LIPIŃSKI z ZESPÓŁEM

Miejsce: Plac przed Urzędem Miejskim przy ul. Żeromskiego

godz. 19:00

RAY WILSON GENESIS CLASSIC

Miejsce: Plac przed Urzędem Miejskim przy ul. Żeromskiego



ZACZĘŁO SIĘ W
RADOMIU
CZERWIEC '76

19.06.2016 r.
godz. 19.00
PLAC PRZED URZĘDEM MIEJSKIM
PRZY UL. S. ŻEROMSKIEGO

WIDOWISKO MUZYCZNE Z TVP 1

„RADOMSKI CZERWIEC WOLNOŚCI”

KĘKĘ
ODDZIAŁ ZAMKNIĘTY
STANISŁAW SOYKA
KORTEZ
KULT
KOBRAŃOCKA
KRYSZYNA PRONKO
DŻEM

WSTĘP WOLNY!

ŁAŹNIA
GALERIA

Radomski Klub Środowisk Twórczych i Galeria

ŁAŹNIA
GALERIA

MOJE SPOTKANIE
Z HISTORIĄ MIASTA
- „RADOMSKI
CZERWIEC '76”

podsumowanie VI edycji konkursu grafiki komputerowej organizowanego
przez Zespół Szkół Elektronicznych im. Bohaterów Westerplatte w Radomiu

wernisaż wystawy i wyłonienie laureatów konkursu
7 czerwca (wtorek) godz. 16:00
wystawa pokonkursowa czynna od 7 - 24 czerwca 2016 r.

Łaźnia, ul. Żeromskiego 56

radom
mie w przyszłości

ZACZEŁO SIĘ W
RADOMIU
CZERWIEC '76

MIASTA BUNTU W IMPERIUM SOWIECKIM 13–14 czerwca 2016 r.

MIĘDZYNARODOWA KONFERENCJA NAUKOWA

Zespół Szkół Muzycznych im. Oskara Kolberga w Radomiu
ul. 25 Czerwca 70

Blok I – Robotniczy protest w Radomiu 25 czerwca 1976 r.

- 10.00–10.15** Otwarcie konferencji – Prezydent Miasta Radomia Radosław Witkowski, Zastępca Prezesa Instytutu Pamięci Narodowej dr Paweł Ukielski
- 10.15–10.35** Prof. dr hab. Piotr Tusinski (Uniwersytet Pedagogiczny w Krakowie), *Skazani sądownie uczestnik i wyłarcze Radomskiego Czerwca 1976 – próba portretu zbiorowego*
- 10.35–10.55** Dr Konrad Sławinski (Katolicki Uniwersytet Lubelski), *Pamięć o protestach radomskich robotników z 25 czerwca 1976*
- 10.55–11.15** Bogusław Bek (IPN Radom), *Międzynarodowe echa protestów robotniczych z czerwca 1976*
- 11.15–11.35** Dr Krzysztof Busse (IPN Radom), *Stowarzyszenie „PAX” wobec „wydarzeń radomskich” z 25 czerwca 1976*
- 11.35–11.55** Dr Szczeban Kowalik (Wyższe Seminarium Duchowne w Radomiu), *Ksiądz Roman Kotlarz – męczennik radomskiego protestu*
- 11.55–12.15** Przerwa
- 12.15–13.45** Promocja monografii dr. Arkadiusza Kutkowskiego *1976 – jak my ich nieprawdziwimy? Represje społeczne po protestach robotniczym w Radomiu w czerwcu 1976 r.*
- Przewodzący: dr Sebastian Jagłowski
Prezentacja książki: prof. dr hab. Jerzy Eiser (IPN Warszawa/Instytut Historii PAN)
Dyskusja wokół książki: Mirosław Chojcecki, dr Arkadiusz Kutkowski (IPN Radom), dr Paweł Sasanka (IPN)

13.45–14.45 Przerwa

Blok II – Miasta buntu w PRL

- 14.45–15.05** Prof. dr hab. Stanisław Jankowiak (Uniwersytet Adama Mickiewicza), *Poznań/Warszawa 1956*
- 15.05–15.25** Dr hab. Piotr Osęka (Instytut Studiów Politycznych PAN), *Warszawa 1968*
- 15.25–15.45** Dr Anna Machcewicz, *Galansk 1970, 1980*
- 15.45–16.05** Prof. Antoni Dudek (Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego), *Kraków/Nowa Huta 1982*
- 16.05–16.25** Dr Łukasz Kamiński (IPN), *Wrocław/Lubin 1982*
- 16.25–16.55** Dyskusja
- 16.55–17.15** Przerwa

Blok III – Miasta buntu w bloku sowieckim

- 17.15–17.35** Prof. dr Herman Wentker (Instytut Historii Współczesnej w Berlinie), *Powstanie berlińskie 1951*
- 17.35–17.55** Prof. dr Csilla Kiss (Uniwersytet Aberdeeni), *Powstanie węgierskie – Budapeszt 1956*
- 17.55–18.15** Dr Petr Blazek (Instytut Badania Reżimów Totalitarnych w Pradze), *Praga 1968*
- 18.15–18.35** Prof. dr Vladimer Janatschewski (Archiwum Ministerstwa Spraw Wewnętrznych Gruzji), *Protest w Tbilisi w maju 1956 (nawracający opozycji politycznej w Gruzji)*
- 18.35–18.55** Dr Peter Opatry (Instytut Nauk Społecznych i Humanistycznych im. C.S. Nicolaeescu Blopser w Krajowej Rumuńskiej Akademii Nauk), *Bukareszt 1989 i „rewolucja rumuńska”*

18.55–19.25 Dyskusja

Blok IV – Mechanizmy buntu

- 09.00–11.00** Panel I Protesty w miastach bloku sowieckiego – polityczne mechanizmy buntu
- Przewodzący: Prof. dr hab. Jerzy Eiser (IPN Warszawa/Instytut Historii PAN)
- Uczestnicy: Prof. dr hab. Andrzej Pachowski (Instytut Studiów Politycznych PAN)
- Prof. dr hab. Dariusz Janusz (Instytut Historii PAN)
- Prof. dr hab. Paweł Machcewicz (Muzeum II Wojny Światowej/Instytut Studiów Politycznych PAN)
- Dr Łukasz Kamiński (IPN)

11.00–11.30 Przerwa

11.30–13.30 Panel II Protesty społeczne w Imperium sowieckim w świetle dorobków nauk społecznych

- Przewodzący: Prof. dr hab. Marek Wierzbicki (IPN Radom, Katolicki Uniwersytet Lubelski)
- Uczestnicy: Prof. dr Csilla Kiss (Uniwersytet Aberdeeni)
- Prof. dr hab. Ireneusz Krzeminski (Uniwersytet Warszawski)
- Prof. dr hab. Marcin Zaremba (Uniwersytet Warszawski)
- Dr Paweł Sasanka (IPN)

13.30–14.30 Przerwa

14.30–16.30 Panel III Radomski Czerwiec a edukacja czyli jak myślica o protestach robotniczym 1976 roku?

- Przewodzący: dr Andrzej Zawitowski (IPN Warszawa/SGH)
- Uczestnicy: Agnieszka Jagłowska (IPN Lublin)
- dr Arkadiusz Kutkowski (IPN Radom)
- Dariusz Żytnicki – dyrektor I LO im. M. Konopnickiej w Radomiu

16.30 Zamknięcie obrad, zakończenie konferencji



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ



MIASTO RADOM



40. Rocznica Wydarzeń Czerwca '76 w Płocku



Honorowy Patronat Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Andrzeja Dudy

KOMITET HONOROWY

- Piotr Duda – Przewodniczący KK NSZZ „Solidarność”
- Ks. Piotr Libera – Biskup Płocki
- Piotr Gliński – Wiceprezes Rady Ministrów
- Zbigniew Ziobro – Minister Sprawiedliwości
- Patryk Jaki – Wiceminister Sprawiedliwości
- Zdzisław Szipiera – Wojewoda Mazowiecki
- Adam Struzik – Marszałek Województwa Mazowieckiego
- Andrzej Nowakowski – Prezydent Miasta Płocka
- Łukasz Kamiński – Prezes IPN
- Jacek Pawłowicz – Dyrektor Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL

PROGRAM

- 17 czerwca 2016 r.**
godz. 12⁰⁰ – aula Urzędu Miasta Płocka, Stary Rynek 1 – konferencja naukowa 40. Rocznica Czerwca '76.
Prelegenci: Pani Zofia Romaszewska, prof. Jerzy Eiser, Jacek Pawłowicz.
Otwarcie wystawy pt. „Czerwiec 1976 Radom Unia Płock”
- 18 czerwca 2016 r.**
godz. 17⁰⁰ – złożenie kwiatów przy kamieniu Brama nr 2 PKN Orlen SA
godz. 17³⁰ – odsłonięcie tablicy pamiątkowej – Księżyc Płocka ul. Kościuszkii 6
godz. 18⁰⁰ – inscenizacja wydarzeń Czerwca '76
godz. 19⁰⁰ – koncert zespołów: Oddział Zamiatany i LOMBARD
- 19 czerwca 2016 r.**
godz. 10⁰⁰ – zbiórka posztów solidarnościowych przy placu „Stalinawce” ul. Łódzka nr 4
godz. 11⁰⁰ – składanie kwiatów przy pomniku Otar Protestów Robotniczych i Ks. Józefa Popieluski
godz. 12⁰⁰ – Msza święta (jednolita na terenie Placu Starożytności) w intencji uczestników Czerwca '76 koncelebrowana przez Biskupa Płockiego ks. Piotra Libera

Sponsor główny



Sponsorzy obchodów Rocznicy Wydarzeń Czerwca '76 w Płocku



KLUB
OBYWATELSKI

CZERWIEC '76

czterdzieści lat później

25 MAJA (środa) GODZ. 17.00

SPOTKANIE Z PREZYDENTEM
BRONISŁAWEM KOMOROWSKIM



Radom ul. Mikołaja Kopernika,
I Mazowieckie
Centrum Sztuki Współczesnej
ELEKTROWNIA

VRADOM '76
POCZATEK WOLNOSCI

Komitet Obrony Demokracji **zaprasza na marsz**

RADOM: POCZATEK WOLNOSCI

Ucznijmy razem
40. rocznicę Wydarzeń Radomskich 1976r.!

Zbiórka: **25 czerwca 2016r.,**
godzina **11.00,**
ul. 1905 roku
(teren byłych Zakładów Metalowych)

KOD
komitet obrony demokracji

RADOM W PRL-U

Muzeum im. Jacka Malczewskiego
Radom, Rynek 11

czerwiec - wrzesień 2016



Mazowsze.
Serwis Półki

Patronat medialny:

dam

gazeta

GOSK

Plus | 907 FM

Radio

ZEBRA TV

Radio

dzien

eska

Skąły na Bukowej Górze, wrzesień 2016 r.
fot. Stanisław Zbigniew Kamiński

Spojrzenie i obraz. Traktat o malarstwie (fragment części II – spisane z rękopisu)

Jacek Antoni Zieliński

W związku z metodą Leonarda da Vinci

Paul Valéry: *Wstęp do metody Leonarda da Vinci*. Na kilkunastu początkowych stronach autor analizuje powstawanie wyobrażeń w ludzkim umyśle i relacje między tymi wyobrażeniami a ich realizacjami przestrzennymi. Chodzi mu oczywiście o proces zachodzący w umyśle Leonarda, ale z początku uogólnia, bo zdaje sobie sprawę, że umysł Leonarda był przypadkiem szczególnej intensyfikacji tego, co właściwe umysłom wszystkich ludzi. Nie wszyscy jednak miewają wizje. Valéry rozumie przez nie dostąpienie tego stopnia poznania, gdy umysłowi ukazują się nagle „związki pomiędzy rzeczami, których powiązanie i zasady tego powiązania wymykają się naszemu widzeniu”. Umysł Leonarda penetrował bowiem rzeczywistość w jej najgłębszych, niedostępnych potocznemu widzeniu strukturach i związkach, łączących wszystko ze wszystkim.

Gdybym był złośliwy, powiedziałbym, że tekst Valéry'ego, napisany w roku 1894, gdy jego autor miał 23 lata, jest nieco przegadany. Ale nie

zamierzam być złośliwy, ponieważ rozumiem, że umysł poety musiał niejako powtórzyć Leonardowskie krążenie wokół pewnych problemów. Jeżeli bowiem Leonardo miewał wizje, to nie pojawiały się one znikąd, lecz były poprzedzone intensywnymi procesami myślowymi. (Co zresztą Valéry podkreśla).

Bardzo ważne, że *Wstęp do metody Leonarda da Vinci* napisał poeta. Ten tekst może być nieco rozwlekły, ale nie jest suchy. Pisał go poeta o wyjątkowych zainteresowaniach naukami ścisłymi, co czyniło go kompetentnym. (Ponadto można do dziś podziwiać wykształcenie i erudycję młodego autora. W przypisie podaje, że korzystał z konsultacji samego Poincarégo).

Z rozprawy Valéry'ego wyłania się obraz umysłu, który uniwersalną zasadę działania siły twórczej wyprowadzał z praw natury. Wszelką zasadę, w każdej dziedzinie, jaką się zajmował, więc nie tylko w sztuce, choć dla nas – w sztuce przede wszystkim. I to, co może najistotniejsze: obraz umysłu, dla którego działanie owej siły twórczej było ważniejsze, lub po prostu ciekawsze od dzieła, jakie Leonardo realizował. Co

wyjaśnia, skąd w życiu tego geniusza tyle realizacji niedokończonych¹.

*

Z rozprawą Paula Valéry'ego łączy się pewne moje dziwne doświadczenie osobiste, które zamierzam opisać, obiecując, że będzie to już ostatni opis tego rodzaju. Tym razem nie było to doświadczenie młodzieńcze. Przeżyłem je w wieku 35 lat.

W lipcu 1971 r. pojechałem, chyba po raz dziesiąty, w Góry Świętokrzyskie, z bliżej nieokreślonym zamiarem „porysowania” tego, co się narzuci. Wziąłem tylko parę bloków rysunkowych, ołówki i ulubioną kredkę sangwinę.

Któregoś słonecznego dnia przed południem wszedłem na leśną ścieżkę wiodącą grzbietem Pasma Klonowskiego. Na niewielkim w tym miejscu wzniesieniu Bukowej Góry znajduje się wystająca z ziemi imponująca skała, oznaczona zresztą w przewodnikach jako pomnik przyrody nieożywionej. Rzut oka na ten „pomnik” uprzytomnił mi, że dzieje się tam coś niezwykłego. Oto promienie słońca, padające pod pewnym kątem, oświetlały brzegi pęknięć kamienia, pęknięć o kształtach (właściwie liniach) bardzo ciekawych i różnorodnych. W tym momencie oświetlone były tylko brzegi tych szczelin, a nie cała powierzchnia skały. W efekcie tworzyła się siatka jasnych, świetlistych linii, jakby zawieszonych w powietrzu, niby układ autonomiczny, oderwanych od masy podłoża. Przez chwilę stałem urzeczony. Po kilku minutach zjawisko zniknęło, wraz ze zmieniającym się kątem padania światła słonecznego.

Postanowiłem, że muszę to narysować. Ale po pierwsze, nie miałem w tej chwili przy sobie żadnych przyborów; po drugie – zdałem sobie sprawę, że środki techniczne, którymi mógłbym

rozporządzać, są zbyt ubogie. Nie zważając na drugą okoliczność, wróciłem w to miejsce następnego dnia, zaopatrzony w to, co mogłem ze sobą zabrać. Dokładnie zapamiętałem godzinę – to była sprawa podstawowa. Na szczęście upalne lato tego roku nie groziło zmianą pogody. Droga ze Świętej Katarzyny, gdzie mieszkałem, musiała trwać dwie i pół godziny w jedną stronę ścieżkami polnymi i leśnymi, i nie mogłem się spóźnić! Jak na miejscu się okazało, miałem do dyspozycji nie więcej niż 17 minut. Ile rysunków można zrobić w tym czasie? Trzy, może cztery szybkie szkice. Oddanie całego zjawiska też nie wchodziło w grę. Notowałem jedynie przebiegi szczelin w skale, wyznaczone cieniami w ich wgłębieniach, a nie światłami na obrzeżach. Mówiłem sobie jednak, że jakąś bliżej nieznaną mi jeszcze „resztę” (czyli to, co najważniejsze) zrobię później, w pracowni.

Wracałem tam jeszcze chyba przez trzy kolejne dni, idąc za każdym razem po pięć godzin. (Żadna komunikacja mechaniczna nie wchodziła w grę). Ktoś mógłby zapytać, po co ten trud? Czy nie można było przyjść raz i wykonać wystarczającą liczbę szkiców, niezależnie od drobnych różnic w oświetleniu motywu, skoro i tak nie miałem czasu ani środków, by te różnice pochwycić.

Pytanie racjonalne, ale odpowiedź nie może być racjonalna. Do dziś uważam, że musiało być tak, jak było. Szkice powstawały wprawdzie trochę „obok” wrażenia, ale doznanie tego wrażenia musiało się łączyć z czynnością rysowania. Jestem też całkowicie pewny, że aparat fotograficzny nic by mi w tej sprawie nie pomógł.

Jeśli kiedyś doświadczyłem iluminacji, było to właśnie wówczas. Gdybym chciał treść tej iluminacji ująć w słowa, musiałbym chyba powiedzieć, że granice między stanami materii mają charakter pozorny, a czynnikiem, który te stany łączy w jedność, jest energia. Jednak nie mogę się oprzeć wrażeniu, że opis tego rodzaju musi być uboższy od doświadczenia wzrokowego.

¹ Polecam też lekturę tekstu Stefana Świeżawskiego „Leonardo da Vinci i jego Scienza della pittura”, zamieszczonego w książce tego autora *Między średniowieczem a czasami najnowszy. Sylwetki myślicieli XV wieku*, Warszawa 2002, Biblioteka WIĘZI.



Reprodukcja obrazu „Madonna i Dzieciątko ze świętą Anną” Leonarda da Vinci, na stole w pracowni Jacka Antoniego Zielińskiego, z fragmentem obrazu artysty

Aparat fotograficzny okazał się niespodzianie przydatny, gdy wróciłem do Warszawy i próbowałem „coś zrobić” z moimi rysunkami. Ale to już dalszy ciąg całej sprawy, którego nie będę szczegółowo opisywał. Wspomnę tylko, że dzięki pomocy mojego przyjaciela, malarza i fotografa Stanisława Broszkiewicza, który opracował specjalnie dla mnie technikę, jaką później nazwałem heliomorfia, udało mi się skomponować coś, co nie jest dosłownym odwzorowaniem, ale stanowi ekwiwalent mego doznania z Bukowej Góry. (Cykl „Szczeliny skalne”, 1974). Powstały oprócz tego dwie serie obrazów na płótnie.

Sprawa ta miała też skutki bardziej dalekosiężne, rzutując na moje poczynania w późniejszych latach. Ma się rozumieć, ocena tych poczyniń nie do mnie należy, ale tu nie chodzi o ocenę, lecz o spostrzeżenie, że jakieś niespodziewane doznanie ujawnia nagle ideę, która potencjalnie istniała w naszym umyśle, o czym nie wiedzieliśmy, i która zaczyna się formułować stopniowo podczas realizacji, i tylko w realizacji się przejawia.

*

Chyba nie było przypadkiem, że jeszcze tego lata, po powrocie do Warszawy, poznałem *Wstęp do metody Leonarda da Vinci*. Ukazał się wiosną w „Twórczości” w przekładzie Aleksandry Frybesowej². Z jakimż zdumieniem przeczytałem:

„Przychodzi mu chęć wyobrazić sobie całości niewidoczne, których dane ma tylko fragmenty. Odgaduje, jaką smugę zostawia w powietrzu lot ptaka, krzywą, po której sunie rzucony kamień, płaszczyzny, które zakreślają nasze gesty i te dziwne pęknięcia, płynne arabski, bezkształtne komory, jakie w przenikającej wszystko sieci żłobią zgrzytliwe rysy drżących

w powietrzu owadów, falowanie drzew, koła, uśmiech ludzki, przyptyw i odpływ morza. Czasami ślady tego, co sobie wyobraził, dają się dostrzec na piasku czy wodzie; czasem sama jego siatkówka ma daną w czasie możliwość porównania jakiegoś przedmiotu i kształtu jego ruchu”.

Następnie, już z pełną świadomością, poddałem się inspiracji płynącej z jednego tylko zdania: „Odgaduje, jaką smugę zostawia w powietrzu lot ptaka...”. Tu się zaczyna historia innego cyklu heliomorficznego, który zatytułowałem „Na kliszy powietrza”, a zrealizowałem dopiero po 11 latach. Historia ciekawa sama w sobie, ale nie będę jej tu opowiadał.

Dzisiaj, pisząc ten „Traktat”, mogę dodać parę zdań z *Niektórych myśli pana Teste* Paula Valéry’ego, stanowiących dodatek do *Wieczoru z panem Teste*, napisanego parę lat po *Wstępie do metody...*

„Chcę ze świata (widzialnego) czerpać jedynie siły – nie formy, lecz to, z czego się je tworzy.

Żadnej historii – żadnego Decorum. Samo wyzucie materii, skały, powietrza, wód, tkanki roślinnej – i ich elementarnych wartości”³.

*

Już na podstawie przytoczonych przez mnie fragmentów można zauważyć, że Valéry nie tyle przywołuje konkretne obrazy i rysunki Leonarda (czyni to, ale rzadko), ile odtwarza idee i wyobrażenia, jakie mogły doprowadzić do powstania tych rysunków i obrazów. (Raczej rysunków niż obrazów). Z tego powodu, paradoksalnie, tekst Valéry’ego może być dla współczesnego artysty bardziej inspirujący od konkretnych realizacji Leonarda, naznaczonych cechami jego indywidualnej manieri i stylu epoki.

Nasuwa się pytanie, na ile Valéry rzeczywiście odtworzył myśl Leonarda, a na ile wykreował własne wyobrażenie tej myśli. W końcu Leonardo da Vinci pozostawił nie tylko obrazy i rysunki, ale także słowne zapisy swych myśli i Valéry tych ostatnich nie pominął. Nie pominął, a jed-

³ Przetłoczyła Donata Eska.

nak poszedł jeszcze dalej, tworząc coś w rodzaju obrazu „myśli niesformułowanej” Leonarda da Vinci. Chciał przeniknąć do tych treści, które kryją się pod powierzchnią słów. Postawił sobie zadanie ujawnienia tego, czego słowa Leonarda nie były w stanie udźwignąć.

Z pewnością nie napisał nic, co byłoby z myślą Leonarda sprzeczne. Wielką wartość tekstu Valéry’ego stanowi to, że nie jest on „literacki” w znaczeniu, które mogłoby sugerować sprzeczność z wizualnym charakterem dzieła Leonarda da Vinci. Co zaś do własnej kreacji na kanwie twórczości Leonarda... mogę powiedzieć tylko, że jest to kreacja wielce inspirująca.

Dwie koncepcje przestrzeni

Od kiedy przed laty zobaczyłem w Luwrze, pierwszy raz w oryginale, „Madonnę i Dzieciątka ze świętą Anną” Leonarda da Vinci, obraz ten „chodzi za mną”. Uważam go za najbardziej intrygujące i zagadkowe dzieło Leonarda. Dzieło późne, chyba przedostatnie. Zagadkowe nie dzięki rzekomym podtekstom psychoanalitycznym (nigdy nie udało mi się dopatrzeć w nim zarysu ptaka), lecz jako formacja przestrzenna.

Tytułowa grupa postaci jest, jak wiadomo, konfiguracją geometryczną o niespotykanym stopniu komplikacji. W obrębie nieruchomej grupy dzieje się ruch wewnętrzny. Sprawia, że wszystkie jej części przenikają się ze sobą i łączą na zasadzie oddziaływań dynamicznych. Dalej nie będę tej konfiguracji opisywał, gdyż czyniono to wiele razy. Mogę najwyżej dodać, co zresztą też nie jest moim odkryciem, że gdyby nie geniusz Leonarda, widzielibyśmy tu zaledwie coś w rodzaju rozwiązania trudnego zadania z geometrii, a nie wspaniałe dzieło malarskie.

Sens tego obrazu objawia się dopiero dzięki zestawieniu pierwszoplanowej grupy z rozległym skalistym krajobrazem w tle. Właściwie są tu dwie formacje przestrzenne, zderzone w sposób prowokujący widza do myślenia. Myślenia o czym? Nie jestem pewien, czy to, o czym ja myślę dzisiaj, patrząc na „Madonnę i Dzieciątka ze świętą Anną”, jest tym samym, o czym my-

ślał Leonardo, malując ten obraz. Jednak jeżeli nawet była to „myśl niesformułowana”, stanowiła głębokie wejście w prawa budowy materii. (Szkoda, że Paul Valéry nie analizuje tego obrazu). Leonardo wydaje się mówić: przestrzeń jest zjawiskiem dużo bardziej skomplikowanym, dużo bardziej wielowymiarowym, niż sobie wyobrażają wasi filozofowie. Możecie się nad tym zastanowić, porównując moją „dziwną” kreację geometryczną z „prostą” (choć bardzo piękną) rozległością pejzażu takiego, jakim go wasze oczy zwykły oglądać.

Inaczej niż w całym malarstwie renesansu włoskiego i również inaczej niż we wszystkich pozostałych obrazach Leonarda, krajobraz jest tutaj „cytatem z przestrzeni trójwymiarowej”. Cytatem wprowadzonym po to, abyśmy mieli porównanie.

Zależnie od tego, co chcemy zobaczyć, skalisty pejzaż albo misternie wiąże się z grupą postaci, albo dystansuje się wobec niej. I jest to jedyny znany mi obraz renesansowy, w którym ów dystans nie wynika ani z nieumiejętności zobaczenia razem bliskiego i dalekiego, ani z wszechobecnego w Europie antropocentryzmu. Takie a nie inne relacje między postaciami a krajobrazem służą tu śmiało zderzeniu dwu formacji przestrzennych. Jedna jest piękna i znana, druga stanowi zagadkę, czy może raczej przecucie zagadki, z jaką zetkną się dopiero odległe, przyszłe pokolenia. Wobec tego znamienita wydaje się relacja z epoki, że po namalowaniu tego obrazu „Leonardo zupełnie stracił cierpliwość do obcowania z pędzlem i obecnie poświęcił się całkowicie geometrii”. Po 450 latach pewien fizyk wyrazi przypuszczenie, że geometria czasoprzestrzeni jest – być może – samodzielnym bytem dynamicznym⁴.

Jacek Antoni Zieliński

² Pod koniec tego samego roku ukazał się w wydaniu książkowym: Paul Valéry, *Estetyka słowa. Szkice*, przetłoczyła Donata Eska i Aleksandra Frybesowa, Warszawa 1971, PIW.

⁴ John Archibald Wheeler, na przełomie lat 50. i 60. XX w.

Notatnik Radomski Stary

Grzegorz Bartos

Garnitury są w zestawie. Wliczone w koszt usługi. Balsamowanie, zamykanie ust, mycie i ubieranie, trumna, grabarz też swój. Jeśli potrzeba, to modlitwy i zasiłek pogrzebowy również da się zorganizować. Dlaczego nie? Ludzie umierają, a życie idzie dalej.

I tak leżał. Mały człowiek w tanim czarnym garniturze. Bez wątroby. Bez trzustki. Z zaciśniętymi ustami. Z dłońmi zaplecionymi w różaniec. Siwiutki. Jakies czterdzieści kilo człowieka.

– Po co lepszy garnitur? – mówią w zakładzie. To nie ślub. Garnitur do trumny może być tani. Nikt go przecież nie będzie oglądał. Przynajmniej nikt żywy.

Nie potrzeba było czterech osób, żeby nieść tę trumnę. Wystarczyłoby ze dwóch. Właściwie jedną ręką sam bym mógł ją nieść.

– Dlaczego nie zostawisz mu butelki? – pytają sąsiedzi. Teraz to w zwyczaju. – Ja swojemu staremu zostawiłem setkę gorzały i papierosy – mówi jeden z nich. Nie chce mi się im odpowiadać. W ostatnich latach był uzależniony od leków przeciwbólowych, brał je garściami. I choć całe życie żył jak pijak, to umarł jako ćpun i wyszło na to, że przy swoich 77 latach nie umarł ze starości, ale przedawkował.

W mowie pogrzebowej ksiądz przypomniał o jego pracy, podkreślał, że odchodzi nie tylko nauczyciel, ale też wychowawca. A ja pamiętam te jego lekcje historii czy muzyki. Nie wiedzieć czemu uczył też wuefu klasy dziewczyn. Rzucił im piłkę, a sam skakał przez siatkę ogrodzenia i siadał na ławce pod sklepem. Czasem grał z chłopakami, lubił grać, miał dobrą kiwkę i celny strzał. Ale zamknięty w szkolnych murach nie robił nic. Mówił: otwórzcie podręcznik na stronie tej i tej, i czytajcie do tej i tej. A jak kto skończy, to niech czyta od początku. Dzieciaki udawały, że czytają, ziewały, a on chodził od ściany do ściany, całymi godzinami. Zresztą u dziadków, kiedy nie można było nic robić, bo padał deszcz, to chodził tak samo po izbie. Z założonymi za siebie rękami... I teraz ja chodzę tak samo, w mojej pracy, na długich nocnych dyżurach.

Nie można mu było odmówić konsekwencji. Tak nie lubił telewizyjnych reklam, że zupełnie przestał oglądać telewizję. Nie chciał patrzeć na futbolowych gogusiów. Czytał książki. Słuchał radia. Nie wiem po co. Pozostał komunistą. Paręnaście lat temu pijany opowiadał, jak to fałszowali wybory. Stare dobre czasy.

Co powiedzieć sąsiadom, kiedy wspominają, jak to pod sklepem raz na miesiąc zagadywali go, co słycać. On zwykle w pośpiechu, bo to jeden jedyny moment, spłacił dług i bierze na następny, a oni chcą rozmawiać, w końcu inteligentny człowiek, nauczyciel historii, muzyki, każdy go pamięta, każdy zna. Zagadują go o muzykę, bo grał na skrzypcach, i piłkę nożną, bo kiedyś lubił grać. Tyle zapamiętali. Co za brednie. Jak im opowiedzieć, żeśmy milczeli dobre dziesięć lat, a później – kiedy już zaczął mówić, a właściwie, kiedy ja pozwoliłem mu mówić – to chciał mi powiedzieć, jak to wygląda. Tam na miejscu. Że zatłukł cztery psy. Pałką. Wziął i zatłukł. Bo już nie mógł znieść. Pętały się dookoła, w obejściu, i nikt ich nie wyganiał, ale nikt też nie chciał o nie dbać. Więc wziął tę pałkę i jednego po drugim zatłukł za stołą. I opowiedział o tym właśnie mnie. A ja go zrozumiałem, bo widziałem te cholerne psy.



rys. m@d 2016

Mówił do mnie, że już nie może wytrzymać. Że niechby się ten jego los zdecydował, albo wte albo wewte. Co też sobie wyobrażał? Że nagle znów będzie zdrowy, silny i wytrzymały, pełen krzepy i znów będzie mógł pić jak mało kto? Jakim cudem? Przecież mógł pójść tylko w jedną stronę. I tak też się stało. Tak bardzo nie lubił służby zdrowia, lekarzy, szpitali, że wziął i umarł, nie odwiedzwszy w życiu niemal ani jednego. Zupełnie jak ten facet z dowcipu, któremu lekarze dali rok życia, a on postanowił im udowodnić, że się mylą i zmarł po dwóch miesiącach.

– A wiesz, że to twoje buty?... – Jak to, moje? Zaglądam do trumny, patrzę, nie pamiętam, może i tak. Dałem mu je, przez matkę, bo przecież człowiek rósł, kiedy on małał. Rósł, robił się coraz większy, w swoim życiu, rozlewał się, aż dusił innych, byle mieć swoje miejsce dla siebie. Zanim inni zaczną dusić, zanim straci. Może i dałem. Nie pamiętam. On przecież nie był. Nie widział żadnego z moich ostatnich mieszkań. Nie widział też chryslera, trochę szkoda. Podobało mu się, że można mieć samochód. W tej rodzinie długo nie było samochodów. Jeden stary dom i trochę ziemi. Pomyśleć, że dziadek brał do ust kieliszek wódki jedynie w wi-

lię świąt Bożego Narodzenia, a jego trzech synów jakby bies opętał. Jeden gorszy od drugiego. Choć jakby z czasem się... zmęczyli.

Na wsi sprawy są proste. Jeszcze kiedyś ludzie tam bali się milicji, urzędników, nauczycieli i lekarzy. Teraz nawet księdza mają gdzieś, może tylko banku się boją. A do tego – jeśli nie masz ziemi – nie będą traktować cię poważnie. Zagadną, wiadomo, ale żaden z ciebie mądry człowiek, nawet jeśliś nauczyciel. A przecież on swoją część ziemi oddał właśnie braciom, bo nie chciał się z nimi kłócić. I poszła się jebać. Dokumentnie.

Kilkanaście lat temu napisałem opowiadanie, w którym dwóch braci realizuje film o swoim ojcu. Nazywało się to „Nakręciliśmy ten film” i było tam kilka niezłych scen. Bracia nie mogą się zdecydować, jaki aktor ma grać główną rolę, bo chcieliby kogoś w stylu Ala Pacino, a co najmniej Gajosa, aż w końcu reżyser proponuje im, aby wystąpili sami. Bo kto będzie bardziej podobny do niego od jego synów? Grają na zmianę. W scenach z boiska jeden strzela bramkę głową, a drugi po przerwie z potężnego woleja. Dynamiczna akcja, szybki montaż.

Ostatnią scenę ukradłem z weekendowych odwiedzin w domu rodziców, z czasem coraz rzadszych, dzisiaj to już na palcach można liczyć. Któregoś dnia zająłem z korytarza do pokoju, a stary stał przed telewizorem i dyrygował śpiewającymi na ekranie dziećmi. Nawet trzeźwy, dyrygował zapamiętałe, nie spostrzegł, że świadkuję tej jednej chwili z jego życia.

Krył się zatem w tej mojej literaturze od dawna. Ale jak na to patrzeć wstecz, próbując zapisać, wszystko, cały ból, cały ten rejwach, to zostają same małe rzeczy, pierdoły, jakieś wina pochowane w oponach wkopanych przy żywopłocie, telewizor owinięty kocem i wożony do rodziny latem, książki i krzyżówki, syf, denaturat z miejscowym dzikim, z „magistrem”, który opowiadał, że spał Cybulskiego w dzień jego śmierci, zupa pomidorowa, którą gotowała dla nas woźna, kiedy matka była w szpitalu, a on w ciągu, nic ważnego, a przecież... Czasem bywało bardzo źle. Tyle strachu, tyle nienawiści. Kłamstw i przemocy... Ale czy na pewno? Bo skąd ten żal? Dlaczego tak go brakuje? Dlaczego pamięć jest taką kurwą? Jak to możliwe, że nawet ta moja zajadłość potrafiła się wypalić? Bo swoją rolę nagle widzi się inaczej?

O, zupełnie inaczej...

Pytanie, dlaczego za wszelką cenę chciał być przez cały czas nieprzytomny? – zostanie bez odpowiedzi. Wiem, od czego się zaczęło. Młody nauczyciel rzucono do zapadłej dziury, gdzieś na Mazowszu, dostał pokój w starej chałupie, a że była bida, a nie było węgla, to go gospodarze rozgrzewali bimbrem domowej roboty. Zamiast kolacji, dzień w dzień. Młody historyk, dobrze wyglądał i był całkiem bystry, silny i pracowity, wiele potrafił znieść. On i jego bracia to twarde organizmy. Choć patrząc na niego w trumnie, nie można by tego powiedzieć.

Z jednej szkoły do drugiej, świętokrzyskie, potem znów Mazowsze. Aż w końcu utknął. W swoim pijaństwie, w swoim zatraceniu. Bo też trudno o bardziej stracone życie. I równie ujmujące zakończenie, z żoną trzymającą go za rękę i jednym z synów tuż obok, przez ostatnią noc, do ostatniego westchnienia.

Niewiele zostało. Trzy paczki tytoniu. Etopiryna. Worek z ubraniami. Ale też... Nie do wiary. Siedmioro wnucząt. Kto by pomyślał, że właśnie on będzie głową rodu? Jego bracia żadnych dzieci nie mają. Cokolwiek bym myślał i w jakimkolwiek zasępieniu mnie zostawił, to tego nie mogę mu odebrać.

Grzegorz Bartos

Po widoki

Robert Utkowski

Długo było ciepło, długo świeciło nam słońce. Ale wszystko kiedyś musi się skończyć, więc teraz leje jak z cebra (w chwili, w której czytacie te słowa, pogoda znów spłatała figla, wystarczy spojrzeć za okno).

Jesień, ta deszczowa, brudna nie nastraja optymistycznie. Drzewa niemal na komendę zrzuciły liście i straszą. W mokrym chodniku odbija się bure niebo. Mój awatar w second life popełnił samobójstwo, wciskając emulator klawisza delete. Ymateo i 74 innych użyt-



Widok z okna szkoły podstawowej na ul. Ceglanej, Kaptur

foto. Stanisław Zbigniew Kamiński

kowników lubi to. W komentarzach wieje nudą. W korytarzach wieje wiatr. Rachunki za prąd znów wyższe i wyższe.

W taką pogodę kawa i wino powinny być refundowane przez NFZ, pisze ktoś w sieci. Sny nie mieszczą się sypialniach, przekraczają świat.

To może właśnie dlatego mam wrażenie, że wszystko ważne, co się miało zdarzyć, już kiedyś się zdarzyło. Że nic nowego nie przyjdzie, bo przyjdzie tylko pozór nowego. Pozór rzuci szaty, jak te drzewa liście, i okaże się wtedy, że to tylko rozkładające się truchło przeszłości, czegoś, co już dobrze znam. Co nigdy nie było kolorowe, intrygujące, świeże. I tak właśnie zapisało się w pamięci, wrysowało w oko. Wypaliło piętno w duszy.

Zamykam oczy i widzę ulice Jastarni skąpane w słońcu. Restaurację Przy Ratuszu w Kłodzku pełną ludzi, bo karkówka z grilla jest tu najlepsza na świecie. W Pradze na Czesko-Morawskiej wsiadamy do żółtej linii, na Mustek zmieniamy na zieloną, dalej Staromiejska, Malostranska, Hradczanska.

Długi powrót. Miasto Kazimierzowskie, tak oswojone przed podróżą, teraz wydaje się obce, małe, rozłazi się w szwach. Piaskowce św. Jana, wyczyszczone kilka lat temu, żółtkły, połowa lamp z iluminacji już nie świeci. Od lat nie świecą lampy, które kiedyś dzielnie podświetlały stare miejskie mury od strony ulicy Wałowej. Tubylcy wyrwali cegły z udawanych mostków nad udawaną fosą na udawanym starym mieście.

Poprawianie rzeczywistości zaczyna przynosić nieodwracalne straty.

W Centrum Rzeźby Polskiej w Orońsku uporządkowano plac i otoczenie rzeźby (realizacji) *Pole Anielskich Szeptów* Andrzeja Bednarczyka. To taki hipertekst, zapisany w kamieniu. Kamienne słupy stały w środku trawiastego pola, nie wiodła do nich żadna ścieżka, każdy mógł podejść od dowolnie wybranej strony i zacząć czytać wyryte na słupach wyrazy. Te-

raz do zespołu słupów prowadzi piękna brunatna kosteczka. Więc czytanie trzeba zacząć od miejsca, do którego ona prowadzi. Trzeba zacząć czytać od strony, którą wybrali układacze bruku. Ułatwili dojście, utrudnili kontakt.

A może ułatwili i kontakt? Po co kombinować, ile to możliwych odczytań ma ta rzeźba. Jest jedno, i ono właśnie powinno być słuszne, jedyne, powszechnie akceptowane. Uproszczenie i spłytenie; słowa klucze teraźniejszości. Sami sobie to fundujemy. Uczą tego społecznościowe media, choć ani to media, ani społecznościowe.

Sprzedaż, reklama, promocja. Selfie w pokoju, łazience, na kufrze, selfie z kurczakiem na ostro w warzywach. Zdjęcie z Angeliną Jolie. Dziś częściej zamiast pytania: „Słuchaj, dobrze mówiłem? To było zrozumiałe?” usłyszysz: „Włosy mi nie odstawały? Tłó było OK?”.

Tłó było OK, choć widoki mogłyby być lepsze.

Być może zatem trzeba znów wyruszyć po widoki. Jakiegokolwiek, byle nie byle jakie.

A może po prostu wystarczy przeczekać. Jesień kiedyś musi minąć, spadnie śnieg i znów przez chwilę będzie nieskazitelnie. Choć z tym śniegiem ostatnio też coś nie tak.

Robert Utkowski



Chorobliwe, bliskie obłądzenia indywiduum, czyli o literacie w społeczeństwie i na teatralnej scenie

Martyna Bielińska

foto. M. Strużniński

We wrześniu w radomskim teatrze, prócz znanych z poprzednich sezonów propozycji repertuarowych, możemy oglądać spektakl „Bobok” w reżyserii znanego publiczności rosyjskiego reżysera Grigorija Lifanowa (premiera 16 września).

To już kolejne twórcze spotkanie Lifanowa z Dostojewskim. Po adaptacji monumentalnej „Zbrodni i kary” tym razem reżyser dostrzegł sceniczny potencjał w innym, niewielkim, nie tak popularnym i mniej zobowiązującym dziele literackim, krótkim opowiadaniu pod tytułem „Bobok”. Wchodząc na widownię Sceny Kameralnej, widzowie pochłonęli odnalezieniem swoich miejsc – a rzecz to karkołomna przy niezauważalnych oznaczeniach i dyskretnych numerach – nie od razu zauważają leżącego na środku, nieopodal biurka i masywnej maszyny do pisania, jegomościa w meloniku i czarnym płaszczu. Uwagę widowni przykuwa scena pozbawiona kurtyny, dająca przecucie rzeczywistości, w którą tym razem zabiera nas reżyser, scenograf oraz grupa aktorów. Domi-

nuje szarość i czerń, a potęgający to wrażenie półmrok z trudem pozwala dostrzec w głębi, prócz wspomnianego biurka i maszyny, szafę, inne rekwizyty – ławę przypominającą trumnę, komodę uwieńczoną krzyżem oraz sztalugę z owalnym obrazem przysłoniętym tiulem. W tej bezbarwnej i do czasu bezdusznej przestrzeni jedynym przejawem życia i barwnym akcentem jest kilkulistna roślina w doniczce u stóp widowni, drapak o nielicznych zielonkawych liściach i pewien detal – czerwone skarpetki leżącego jegomościa w meloniku.

Widowisko rozpoczyna rosyjska pieśń oraz tajemniczo wypowiedane frazy o tym, że w momencie śmierci do człowieka przybywa anioł, który niekiedy daje odchodzącemu dodatkowe pary oczu, by mógł więcej widzieć i słyszeć. Słowa te wypowiada postać kobieca w połyskującej jasnej sukni, lecz z trupim wyrazem twarzy i dużymi oczami mocno podkreślonymi czarną kredką. Być może jest to właśnie anioł śmierci, przybywający do pisarza Iwana Iwanowicza, który od samego początku leży



fot. M. Strużniński

na środku sceny. Aura niepewności, wrażenie sennej mary, poczucie balansowania na skraju jawy i snu, rzeczywistości i wyobraźni będzie towarzyszyć widzom już do końca spektaklu.

O czym właściwie jest „Bobok”, czy może czym on w istocie jest? Czy, zgodnie z ludowymi wierzeniami, demonem – chochlikiem wymyślonym na potrzeby straszenia niegrzecznych dzieci? Czy aniołem śmierci, który pojawia się w pokoju literata? Może jeszcze czymś innym? Od pierwszych chwil spektaklu słowo „bobok” pada z ust bohaterów najczęściej. Jego obecność sygnalizowana jest przez uporczywy stukot, szmer, natrętnie brzmiący w uszach aż do końca inscenizacji. Reżyser Grigorij Lifanov dokonał twórczego opracowania opowiadania Dostojewskiego, pozostając wiernym duchowi utworu, jednakże przedstawienia nie można nazwać adaptacją. Nie brak w nim dosłownych cytatów, co zresztą nie dziwi, wszak Dostojewski miał mistrzowskie pióro.

Czerwona herbata – to zdanie otwiera właściwą akcję przedstawienia. Obserwujemy niedocenionego literata poszukującego lotnych

słów, które stworzą slogany reklamowe. Tym niewdzięcznym zajęciem musi się parzyć artysta, by zarobić na chleb, a właściwie na alkohol, bowiem butelka wiernie towarzyszy Iwanowi w bólach wykuwania chwytliwych haseł. Ale słowa potrzebne są nie tylko do pracy zarobkowej, ale także do tworzenia opowiadania. Stukot maszyny, jakże przyjemne doznanie, tak już rzadko słyszane w XXI w., nie przynosi upragnionych stronic. Alkohol pomaga, ale wyłącznie na zszargane nerwy, koi, ale nie stymuluje. Nadal nic. Potęguje się wrażenie, że siedzimy w umyśle Iwana Iwanowicza, coraz mocniej naznaczonego nutą szaleństwa.

Iwanowi z czasem towarzyszą dwa sobowtóry, nie wiadomo, czy to przyjaciele, czy obiekty zmęczonej, wyeksploatowanej wyobraźni, bo z ust jednego z nich pada troskliwe pytanie:
– Mów, Iwanie Iwanowiczu, na miłość boską – będziesz ty kiedyś trzeźwy?

Dwaj przyjaciele-sobowtóry są ubrani identycznie, mają taki sam trupi wyraz twarzy i czerwone skarpetki, i, co więcej, wykonują te same ruchy, idealnie zsynchronizowane. Być

może jest to personifikacja wewnętrznego krytyka, jakiego nosi w sobie każdy pisarz, na co wskazywałaby zabawna scena weryfikacji owoców pisania i darcia kartek maszynopisu przez sobowtóry. Proces twórczy staje się obsesją, doskonale ukazaną na scenie. Z czasem Iwan coraz więcej mówi o sobie, swoim niespełnieniu, i tym, że pozwolił sportretować się malarzowi, a ten podpisał ów portret: „Chorobliwe, bliskie obłądki indywiduum”. Pisarz obarcza winą za obelżywy podpis swoją fizjonomiczną przypadłość, jaką są dwie symetryczne brodawki nad oczami. Jednak w spektaklu Grigorija Lifanova nie są to wyłącznie brodawki, ale para oczu. Być może ta nadana przez anioła śmierci. Jednak pojawia się pytanie: czy niemoc realizacji upragnionej roli literata nie doprowadziła Iwana do szaleństwa? Twierdzenie to nie jest bezpodstawne, bowiem pod czarnymi, długimi płaszczami Iwan i sobowtóry mają kaftany bezpieczeństwa.

Gdy kolejne próby pisarskie przynoszą mierne owoce, literat domaga się rozrywki i rusza na cmentarz. W mgnieniu oka aktorzy przeobrażają przestrzeń w cmentarzysko i od tego momentu na scenie dominują lalki – od pacynek po kukły wielkości człowieka. Akcja przenosi się do Doliny Jozafata, w której zmarli nadal wiodą jakiś rodzaj żywota w rozkładających się ciałach, a właściwie duszach, bowiem nieboszczyk filozof, o znamienym nazwisku Platon, oznajmia, że powszechnie odczuwany odór jest natury moralnej. Ludziom po śmierci gniją nie tylko ciała, ale i dusze. Co zaskakujące, świadomość oraz nieprzyzwoitość w obliczu śmierci nie ulegają zmianie. Na cmentarzysku panuje harmider, zmarli nie wyzbywają się ziemskich pragnień, wciąż obowiązuje dawny status społeczny, a popełnione grzechy bałamucenia nieletnich, słabość do kobiet, upodobanie do bogactwa i oszustwa wciąż płoną kuszącym ogniem w martwych duszach. Nawet perspektywa rychłego Sądu Ostatecznego nie wzmacnia decyzji o po-

rzuceniu grzechów. Największym problem nieboszczyków jest nuda. Kolejni przybysze do krainy umarłych podjudzają tych zastanych do większego obnażania się, do ukazania w całości zdeprawowanej duszy. Nie wiemy wciąż, czy to szaleństwo Iwana Iwanowicza, koszmar czy wyobraźnia, a może tytułowy Bobok? Pointa, w której pisarz stwierdza, że to idealny i potencjalnie intratny temat do pisania, nie daje odpowiedzi. Myślę, że podstawową zaletą tego spektaklu jest pewna dowolność interpretacji, jaka została pozostawiona widzom.

W materiałach promujących spektakl obiecywano widzom dawkę dobrego humoru i zaskoczenie. Twórczość Dostojewskiego – klasyka rosyjskiej prozy – nie kojarzy się z dowcipem, a jednak elementów humorystycznych nie brakuje podczas ponadgodzinnego przedstawienia. Dostojewski opracowany za pomocą licznych środków wyrazu staje się przystępny i lekki. Jednakże podstawowym i niezaprzeczalnym walorem przedstawienia jest różnorodność teatru ukazana na Scenie Kameralnej. Nie chodzi wcale o tak powszechne i popularne dziś w teatrze uduchawianie, a o wyeksponowanie klasycznych elementów, i to w perfekcyjnym wydaniu. Zespołowa gra aktorska, ruch sceniczny, śpiew, lalki, znacząca rola muzyki, bez poczucia przesytu sprawiają, że widz z uwagą śledzi kolejne perypetie postaci. Jedynym niezrozumiałym dla mnie elementem (choć być może to wymóg techniczny) było kilkakrotnie użycie mikroportów, które wzmagają efekt sztuczności, a powstały dźwięk przetworzonego głosu razi w zestawieniu z donośnymi i doskonale słyszalnymi głosami pozostałych aktorów. W wydaniu radomskiego Teatru Powszechnego „Bobok” stanowi propozycję uniwersalną i daje spore pole do interpretacji oraz refleksji. Wolność pozostawiona widzom w tym zakresie, wbrew dominującej tendencji narzucania jedyne- go możliwego sposobu rozumienia, pozwa-

la mi także na pozostawienie pewnego niedopowiedzenia, bowiem dla każdego bobok jest czymś innym. Dla jednych robakiem, chochlikiem, którego stale gonią z butem w dłoni Lwan z sobowótami, dla innych duchem, łącznikiem dwóch światów. Nie o rozstrzygnięciu tu chodzi, ale o teatr i przyjemność przebywania w nim dzięki takim spektaklom jak inaugurujący sezon 2016/2017 „Bobok”.

Martyna Bielińska

PS Moja relacja zapewne mogłaby być bardziej szczegółowa, jednakże detale i akcja sceniczna

poza środkiem sceny były poza zasięgiem mego wzroku, bowiem siedziałam w najbardziej odległym od sceny miejscu na widowni. Przy zakupie biletów stanowczo odradzam pierwsze miejsca szóstego rzędu.

Teatr Powszechny im. Jana Kochanowskiego w Radomiu

Fiodor Dostojewski, „Bobok”, przekład Marii Leśniewskiej

Scenariusz i reżyseria: Grigorij Lifanov

Scenografia i kostiumy: Julia Selavari

Choreografia, ruch sceniczny: Edyta Wasłowska

Premiera: Scena Kameralna im. A. Bieniasza, 16 września 2016 r.

Au hasard (Michael Cimino 1939–2016)

Grzegorz Sasin

Wyobraźmy sobie, że przychodzi do nas (w tym przypadku do producenta) jakiś nerwowy typ i mówi: Jestem geniuszem! Mam pomysł! Dawaj kasę!

Zaskoczony takim tupetem producent daje kasę, chociaż coś mu tam miga po głowie, że to przecież ten gość od budzącego mieszane uczucia filmu „Piorun i Szybkonogi”. I tak dochodzi do realizacji „Łowcy jeleni”, który to film...

Wyobraźmy sobie znów, że jest rok 1978 i siedzimy na pokazie „Łowcy jeleni”, np. w Cannes. I jesteśmy polskim krytykiem filmowym, ewentualnie francuskim, włoskim albo nowojorskim. Popadamy więc w osłupienie. Szok! Bo przecież Amerykanie zaczęli się już kajać za Wietnam, np. „Powrót do domu” Hala Ashby’ego z Jane Fondą – ikoną antyamerykańskiej fety à propos wojny wietnamskiej. I piszemy potem, że film Cimino to szowinistyczny kicz, że obraża Wietnamczyków i robi z komunistów potworów. Że uderza w postępowe

serce Ameryki i jest peanem na cześć wojny. Fakt, obraża. Fakt, szowinistyczny, a tytułowy bohater w ujęciu Roberta De Niro jest nawet bardziej amerykańskiej i niż konstytucja USA (jak to się mówi? bardziej święty od papieża). Ale jest to film niezwykle, skondensowany obraz życia, blagi i prawdy. Metafora Ameryki w kadrach, bo Wietnam jest tylko pretekstem do tematu: Czym jest Ameryka? Kim jest Amerykanin? Jaka jest idea Ameryki? Co jest podstawą jej istnienia? Czy Ameryka jest mitem?

Jest mitem. Jest krainą utopii dla wciąż napływających emigrantów. Jest wcieleniem marzenia o wolności. Jest wieczną koncepcją krainy pieczonych gołąbków, snu, american dream. Bo Cimino widzi Amerykę w przekroju, chociaż od dołu, gdyż jego bohaterowie to żadni tam herosi, żadna elita – czy to intelektualna czy finansowa. Ot zwykli ludzie, którzy są solą tej ziemi – od Atlantyku po Pacyfik, od Kanady po Meksyk. A ci ludzie to potomkowie

emigrantów, którzy zachowują swoje odrębności, np. obyczajowe, religijne (tu prawosławie), ale istotą ich bytu jest właśnie Ameryka, tu i teraz, w prowincjonalnym przemysłowym miasteczku gdzieś w Pensylwanii, nad którym wznoszą się nieskazitelne, czyste Appalache. Są one symbolem ładu i prostoty. Ładu, który zakłócają ludzie z zewnątrz, owi łowcy jeleni. Ludzie, którzy wprowadzają chaos w krainie natury. Jak wojna wprowadza chaos w egzystencję mieszkańców przemysłowego miasta gdzieś w Ameryce. Wietnam jest przerywnikiem, zaburzającym pewność istnienia w określonych strukturach społecznych. Weryfikatorem postaw, charakterów i sumień. Wydobywa człowieka na zewnątrz – i potwierdza. Robert De Niro potwierdza siebie na wojnie. Okazuje się być takim samym człowiekiem, jakim był w swojej codzienności: wcieleniem ideału amerykańskiego mężczyzny. Jego koledzy też się potwierdzają, jak Christopher Walken, którego rozchwiana osobowość, taka niekoherencja charakteru, w pełni ujawnia się w traumie wojny, aż do ostatecznej chwili, w śmiertelnej rozgrywce rosyjskiej ruletki. Jak potwierdza się John Savage w swojej nieśmiałości, niedojrzałości. W swoim przerażeniu światem, który nie jest jego światem. Tam, w jego świecie, był spokój, zakłócany co najwyżej strzałem do jelenia, a tu, w Wietnamie, jest tylko huk, ciągły hałas życia i śmierci. Narkotyk wojny, który ogłusza, oszałamia bardziej niż LSD, niż heroína. Tam wszystko jest wybujałe, groźne: rzeka, dżungla, Sajgon, ludzie. Niebo i ziemia. Wietnam to świat, w którym można nabawić się klaustrofobii. Ciemna piwnica, z której nie ma wyjścia. Oni obaj, którzy przeżyli, wiedzą, że wyjście poza codzienną egzystencję jest grozą, która naznacza na zawsze. Wiedzą, że smak wojny jest smakiem śmierci, i tej rzeczywistej, i tej psychicznej. To nie machanie szabelką dziarskich wojaków, ale koniec świata. Koniec świata, który dotknął lud a nie elity, które migały się od wojny, albo wiały do Kanady czy Meksy-

syku. Cimino pokazuje palcem – to wy, wy politycy, ideolodzy, myśliciele, wy elity jesteście winne. Walka w imię wolności? A co, jeśli inni nie chcą wolności, wolą niewolę, np. komunistyczną. Zatem anarchista Cimino, obrońca ludzi tej ziemi, miota na elity obelgi w rozwrzeszczanych, rozchwianych, szalonych, barokowych wizjach świata w upadku, nad którym może (choć nie musi) zapanować czystość gór, piękno jelenia. I rdzeń, na którym opiera się Ameryka. Tylko ta wizja kraju, jakim widzieli go Ojcowie Założyciele, może ocalić i człowieka, i kraj, jak ocalała Amerykanów w każdym historycznym kryzysie. „Łowca jeleni” daje także wskazówkę: bądźmy sobą u siebie. A więc? Tak, Cimino nawołuje, by wrócić do czasów, gdy Ameryka pławiła się w błogim izolacjonizmie. Sami sobie wystarczamy... Po co nam inne światy?

Podważyć mit u podstaw. Poobrać go na różnie, jak poganie obracali świętych, aby wydobyć jądro, istotę. Spojrzeć z drugiej strony. I tak zaczął się upadek Cimino. W gigantycznym westernie „Wrota niebios” (ponad trzy godziny projekcji). Western? Raczej romantyczny fresk. Romantyczny? Chyba przez swoją ironię, szyderstwo, obrazoburczość. Dusza anarchisty przeważała. Michael Cimino wziął się do plucia na Amerykę. Wysłał na Dzikie Zachód dwóch absolwentów ekskluzywnego uniwersytetu, by krzewili tam cywilizację – a tam trwała wojna, czyli masakra. Bo ten Dzikie Zachód był już opanywany. Rządzili ranczerzy, farmerzy, bankierzy. Każdy znalazł swoje miejsce na ziemi, a tu podążają Go West, mamieni mirażem bogactwa, utopią wolności i demokracji, emigranci ze wszystkich stron świata. Żadni tam Anglosasi, lecz Słowianie, Włosi, Irlandczycy i inna hołota, jak ją określają przedstawiciele kształtującej się właśnie warstwy pierwszych zdobywców bezkresnych terenów Nowego Świata, warstwy WASP-ów – White Anglosaxon Protestant. I na tym tle Cimino już bardziej dobitnie niż w „Łowcy jeleni” ukazuje swój manicheizm. Jest tylko dobro i zło. Czerń i biel. Dobro



fot. internet

Michael Cimino

to nowi emigranci, zło – osadnicy. I mamy gotowy western-eksces o pewnym ludobójstwie, jakie dokonało się u schyłku Dzikiego Zachodu. Tym razem nie na Indianach, lecz na emigrantach. W olśniewających, ale puszczonych, niedopracowanych obrazach Cimino niszczy mit wolności, równości, braterstwa. A skończyć nie może, więc ta dobitność, ten sarkazm, ta barokowa eksplozja kamery więdnie w puszczonym montażu, bo taki film biegnący we wszystkich kierunkach, mimo pozornie jasnego przekazu, można też zinterpretować i tak: osadnicy, emigranci, Amerykanie, obcy etc. – wszyscy reprezentują ciemną stronę duszy, wszyscy oprócz Michaela Cimino. Reżysera, który nie chciał zejść z planu, chciał zrobić film, którego projekcja trwałaby w nieskończoność, ale cóż – producenci, widzowie, pieniądze... Właśnie pieniądze, które rozplynęły się we mgłę spektakularnej klęski finansowej filmu, którego nie uratowały nawet producenckie próby ustawienia go na jakiejś sensownej płaszczyźnie montażowej, bo „Wrota niebios” do takich zabiegów się nie nadawały. Są bowiem anarchicznym eposem, bez kośćca i struktury formalnej, ba, bez żadnej myśli, choćby ciemnej, niejasnej, jak Buñuelowski przedmiot po-

żądania. Film zaskoczył liberalne elity, uznały reżysera za swojego kumpla, ale kasa okazała się pusta. Prócz tego Cimino to żaden intelektualista, który nagle z superpatrioty akceptującego Amerykę w finale „Łowcy jeleni”, gdzie jego bohaterowie, potomkowie emigrantów, śpiewają amerykański hymn, przekształcił się w antypatriotę kwestionującego rację istnienia USA. Otóż nie, Cimino to taki prostaczek boży, święty Franciszek z Asyżu w społeczności Hollywoodu i całego kraju. On nie myśli, on płonie wiarą i oburzeniem, on sprawdza funkcjonowanie mitu. A widzowie taką postawę, taką wizję odrzucają, zwłaszcza że jest ona przekazana w formie mało zrozumiałej. Aby zrozumieć, co dzieje się na ekranie, trzeba włączyć wyobraźnię na totalną skalę i ciągle kojarzyć w jedno wykluczające się kadry, sceny, sekwencje.

Po „Roku smoka”, filmie z pozoru kryminalnym, a tak naprawdę o nienawiści rasowej między gliniarzem, potomkiem Polaków, a chińskim gangsterem, emigrantem nowym (z którego to filmu wyszedł Cimino z łatką rasisty, tym razem występującego przeciw obecności w życiu Ameryki emigrantów z Azji), reżyser postanowił wrócić do źródeł, do podstaw.

I wziął się do rozwlekłej i nudnej powieści *Sycylijczyk* autorstwa Mario Puzo. Producenci znów uwierzyli i sygnęli groszem, dużym groszem.

Plan był prosty: nic dla potomnych, après nous le déluge (po nas choćby potop). Skoro tyle forsy, to ja im pokażę. Więc – narracja rozbuchana, nie opanowana przez montaż. Wizja migotliwa jak w mozaice, a mimo to na ekranie plakat propagandowy. Niezależność? Jak najbardziej. Ale i ambicje komercyjne, bo przecież jestem geniuszem i wszyscy to kupią. Pokażę niedowiarkom, jak się robi kasę. I cóż? I nic... Liberałowie, konserwatyści, krytycy, widzowie i kto tam jeszcze, wszyscy osłupieli. O czym jest ten film? Podobno o tym, jak powstaje mit, tzn. jak ja, Michael Cimino, tworzę mit. Mit nieskalanego, szlachetnego, czystego rozbójnika, Salvatore Guliano z Sycylii – i podpieram ten mit mitem Ameryki, Ziemi Obiecanej, bo mój bohater Salvatore walczył o przyłączenie Sycylii do USA, jako jeszcze jednego stanu, zamorskiego. Ale te złudzenia filmowe rozbija sam film, sam Cimino, który jakby zapomniał, że film to także aktorzy, zwłaszcza aktorzy. Tymczasem na ekranie mamy marionetki – i to manipulowane przez nieudolnego animatora. Drewniani mafiosi, drewniany Terence Stamp jako sycylijski arystokrata (a przecież aktor to znakomity), wreszcie drewniany sam Salvatore Giuliano w ujęciu Christophera Lamberta, który jest raczej aktorem z przymrużeniem oka, jest raczej taką wyrzeźbioną figurką, takim... właśnie plakatem. Niemniej „Sycylijczyk” jest uczta dla oczu, przekąską dla smakosza, lecz ilu takich gourmande’ów może zasiąść w kinach? Dziesięć tysięcy? Sto tysięcy? A choćby i milion. Za mało, bardzo mało. Więc kariera Michaela Cimino legła w gruzach. Bo chciał połączyć wodę z ogniem. Chciał istnieć w „mainstreamie”, ale na własnych warunkach. A jego warunki wymagały niezmiernych pieniędzy, więc przegrał. Nie poszedł drogą innych, jak np. David Lynch czy Jim Jarmusch, którzy olali

główny nurt i poszli swoją drogą, chociaż ich filmy nie wymagają aż tak spektakularnych sum, jak filmy Cimino.

Michael Cimino wybrał cienistą drogę geniuszu. Wszedł na ścieżkę Ericha von Stroheima, Orsona Wellesa. Jego poprzednicy też byli tępieni przez producentów, bo ich filmy nie przynosiły dochodów, chociaż były wielkie, a nawet genialne, jak „Obywatel Kane”, który wyznaczył kinu nowe drogi. Szczególnie to widać dzisiaj, jak się przejdzie przez kina wyświetlające filmy Kieślowskiego i jego różnych następców, jak np. Alejandro Gonzales Iñárritu, który (co za ironia losu!) odnosi oscarowe i kasowe sukcesy rok po roku. Ale Iñárritu czy jego rodakowi Cuaronowi (też oscarowiec) brak oryginalności, nie wyskakują ponad poziom Hollywoodu, bo nie mają tego „touch”, który potrafi obezwładnić widza filmów Stroheima, Wellesa, Cimino, i to niekoniecznie zaraz całością spektaklu, ale jakąś sceną, jakimś gestem, nagłym szaleństwem kamery, co zwłaszcza odnosi się do filmów Michaela Cimino, który już do śmierci nie odzyskał formy, chociaż robił jeszcze filmy, np. dość niefortunny remake „Godzin rozpacz”, ale to nie było to. To było to, gdy John Hurt i Kris Kristofferson w tłumie innych studentów biegną, fruną na rozdanie dyplomów we „Wrotach niebios”, gdy Robert De Niro i Christopher Walken patrzą sobie w oczy i przykładają do skroni rewolwery, a Sajgon płonie w huku petard i bomb, gdy oglądamy operatorski majstersztyk w sekwencji masakry tłumy w Porta della Ginestra w „Sycylijczyku”... i można by wymieniać.

Piękne, ekstatycznie piękne pozostawił nam obrazy Cimino, jak barokowe kościoły, jak obrazy Caravaggia, tę feerię niezwykłości, snu, w którym chciał otworzyć się na ludzi, wyjść z własnej skorupy, ale został odrzucony...

Grzegorz Sasin

Pożegnanie. Wojciech Twardowski (1939–2016) – archeolog, twórca kabaretu, felietonista, poeta

Mieczysław Szewczuk

25 sierpnia zmarł Wojciech Twardowski, miał 77 lat. Był archeologiem, w latach 1964–2005 pracował w tym samym radomskim muzeum, które na przestrzeni lat zmieniało nazwy – początkowo było to Muzeum Regionalne, potem Okręgowe, a następnie Muzeum im. Jacka Malczewskiego. Wojciech Twardowski kierował muzealnym działem archeologii. W Radomiu był także znany jako animator kultury, redaktor miesięcznika „Kontakt”, felietonista, autor wierszy okolicznościowych... Przez lata pisał teksty (dialogów, piosenek) do kolejnych programów i kierował kabaretem Contra.

1. Muzealnik, archeolog

W muzeum był dla nas, młodszych, ważną postacią, także, choć nie tylko, z uwagi na swój dorobek naukowy. Był absolwentem Katedry Archeologii Pradziejowej i Wczesnośredniowiecznej Uniwersytetu Warszawskiego, dyplom uzyskał w 1964 r. W tym samym roku rozpoczął pracę w radomskim muzeum i intensywne badania archeologiczne w terenie, które kontynuował także po przejściu na emeryturę w 2005 r., współpracując z muzealnymi archeologami przy kolejnych projektach. Pod jego kierunkiem pracowało wielu archeologów należących do kolejnych poko-

leń, między innymi jego następczyni na stanowisku kierownika Małgorzata Cieślak-Kopyt, która podkreśla (a powtarzam za nią), że Wojciech Twardowski zgromadził ogromny materiał badawczy. Jako przykłady podaje: wczesnośredniowieczny zespół osadniczy w Rajcu Poduchownym, stanowisko wielokulturowe w Michałowie Parcele nad Pilicą, skupiska osadnictwa kultury pomorskiej i przeworskiej w dolinach Radomki i Pilicy. Prowadził też badania na terenach nieco dalszych, np. w Treście Rządowej koło Tomaszowa Mazowieckiego, dokonując odkrycia, które zostało zauważone w środowisku archeologicznym – wśród popielnic kultury łużyckiej odkrył urnę, zdobioną unikatowym w skali Europy Środkowo-Wschodniej fryzem, który jest odczytywany jako sześć tańczących postaci.

Prowadził także badania na terenie Radomia, do najważniejszych należą te na stanowiskach położonych w dolinie rzeki Mlecznej, m.in. na cmentarzysku kultury łużyckiej Radom-Wośniki, najstarszej znanej nekropolii radomskiej z XI–XII w., a także badania towarzyszące pracom architektonicznym w kościele św. Jana Chrzyciela czy w klasztorze oo. Bernardynów.

Żart, mądrość i dobroć decydowały o autorytecie, jakim cieszył się wśród nas, pracowników. Cechy te pozwalały mu też nawiązywać przyjazne relacje z mieszkańcami w terenie, gdzie prowadził wykopaliska. Przekazywali mu informacje o lokalnych znaleziskach, dzięki którym pozyskał dla muzeum ekspozycje uznane za kolejne archeologiczne skarby, np. pochówki wojowników z początków epoki brązu (Mokrzec, gmina Potworów, Radom-Malczew), skarb kobiecych ozdób z Pogroszyna, unikatowy miecz wczesnośredniowieczny z Wysokiej w gminie Szydłowiec.

Był autorem wystaw muzealnych, głównie ekspozycji archeologicznych prezentujących dzieje Radomia: „Zanim powstało miasto. Początki Radomia” oraz „Był zamek...”. Two-

rzył także ekspozycje biograficzne i historyczne, np. dla Muzeum w Czarnolesie „Jan Kochanowski. Fakty i hipotezy”, a dla Muzeum im. Jacka Malczewskiego „Grunwald – obraz zapomniany”. Jego aktywność w środowisku dziennikarskim i kulturalnym służyła popularyzacji archeologii i historii regionu. Podsumowaniem tej działalności jest cieszące się popularnością wydawnictwo *Radomskie. Alfabet wykopalisk*, wydane w 1994 r., które opracował wspólnie z Małgorzatą Cieślak-Kopyt, Iwoną Micke i Elżbietą Skubichą.

2. Twórca kabaretu Contra. Poezja tekstem piosenki

Szerszej publiczności znany był jako dziennikarz felietonista, redaktor miesięcznika kulturalnego „Kontakt”, ale przede wszystkim jako szef kabaretu Contra.

Nie był założycielem Contry, dołączył chwilę później (z pierwszym tekstem zgłosił się jeszcze w roku powstania, 1969). Jednak od roku 1972 był jego kierownikiem artystycznym, reżyserem i to on zapewnił kabaretowi trwanie przez blisko 20 lat (dokąd istniał klub Relaks, gdzie występowali, klub zamknięto w 1990 r.). Kabaret zyskał uznanie i odnosił sukcesy na odbywających się wówczas ogólnopolskich przeglądach kabaretów amatorskich. Jego twórcy otrzymywali najwyższe nagrody: I nagroda – Złote Rogi Kozicy, Zakopane 1978, Grand Prix dla Wojciecha Twardowskiego na Ogólnopolskich Spotkaniach z Piosenką Kabaretową, Ostrołęka 1985; rok później Grand Prix dla Kabaretu Contra, dla Tomka Mirkowskiego nagroda publiczności... Był to kabaret literacki, bliższy dawnym kabaretom niż popularnym dziś. O popularności Contry decydowały teksty Twardowskiego, do których Wiktor Szmaja pisał muzykę. Stworzyli piosenki, które w środowisku radomskiej inteligencji stały się przebojami, jednak status zespołu amatorskiego nie otworzył im drogi na krajową estradę. I tak „Zegarynka”, „Mały” w bra-



fot. archiwum autora

Wojciech Twardowski w Zwoleniu, Krypta Kochanowskich, 1982 r.

Spacer po latach

(utwór wykonywany na oficjalnych uroczystościach związanych z Radomiem)

tekst: Wojciech Twardowski
muzyka: Wiktor Szmajda

Niejeden wiatr, niejeden deszcz
Starych kamienic mury mył
Pamiętasz cień radomskich bram
Tych parę ulic, stary park
Pamięcią wracasz do tych miejsc
W których miniony usnął czas
Spacer po latach pierwszy raz
Powrót do miasta, które znasz

A może tu jest miasto twoje
A może tu, dlaczego nie
Bo każdy ptak ma gniazdo swoje
I każdy z nas ma miejsce swe

Pamiętasz tej kawiarni szyld
I starą ławkę w parku, gdzie
Wryte było kilka słów
Dziś ślady noża zarósł mech
Tu czuły gest i bicie serc
I obraz jak migawki trzask
Ten mały ktoś za ręce dwie
idzie z uśmiechem pośród nas

A może tu...

W tych murach pot i kropla krwi
I pierwszy śmiech, pierwszy płacz
Choć biedy dwie, radości dwie
Troszeczkę szczęście, lista strat
I choćby los dobry czy zły
Gdzieś na daleki rzucił łąd
Coś jednak każe wracać ci
Tam gdzie był twoich ojców dom

A może tu...



Wojciech Twardowski z siewcą w miejscowości Boży Dar, 1972 r.

wurowym wykonaniu Piotra Skóry, czy piosenki śpiewane mocnym głosem przez gwiazdę kabaretu Barbarę Jakubowską, „Cyrk”, „Ikar”, oczywiście „Tunel”, ale też przez Tomasza Mirkowskiego („Gitarzysta”, „Z chłopca dziecko”) i Zbigniewa Fodera („Na wieszaku”, „Zadyszka”), pozostały przebojami tylko dla nas – radomian. I wspomnieniem młodości – wówczas wszyscy śpiewali „Tango Wąłowej”. Kabaret Contra istnieje jedynie w pamięci nas, radomian, słuchaliśmy piosenek na żywo wielokrotnie. Nie istnieją profesjonalne nagrania, jedynie w internecie, na YouTube, są słabe, amatorskie nagrania z Ostrołęki z lat 1985 i 1986, w tym także wykonywana wspólnie „Szamani tańczą!”. Jednak to tylko ślad. Mamy tradycję – wysokiej próby – której poza nami nie zna nikt. O jej znakomitości decyduje przede wszystkim poetycki charakter tekstu, świadectwem niech będzie wers powtarzany w wierszu „Cyrk” kilkakrotnie:
„Pamiętaj synku, w cyrku się nie płacze”

oraz cała ostatnia strofa tego wiersza, śpiewanego w programie „Polak przetrzyma” (1981):
Pamiętaj synku, w cyrku się nie płacze
Trzeba się cieszyć, no i głośno śmiać
A ludziom dobrze nawet jest w kieracie
Bo właśnie tak im Pan Bóg stworzył świat.

Wiele tekstów ma charakter ballady, przypowieści o dążeniu do wyznaczonego celu, ale – jeśli nawet bohater przypowieści, np. Syzyf, dociera na szczyt, to kula i tak stacza się w dół.

Wojciechu, tekstem tym chciałbym utrwalić pamięć o dwóch przestrzeniach Twojej działalności – Twojej pracy archeologa i twórczości w kabarecie Contra.

Mieczysław Szewczuk

Był jeszcze jeden anioł...

Marta Wiktoria Trojanowska

To przecież oczywiste, że dziecięca perspektywa zniekształca wydarzenia i rozszerza przestrzenie. Bo kiedy teraz otwieram drewnianą furtkę, z której złuszcza się zielona farba, już wiem, że nie było tak, jak zapamiętałam. Dzisiaj mogłabym bez trudu przemierzyć ten ogród, robiąc kilkadziesiąt kroków. Zresztą wszystko tak dokładnie pokrywa bluszcz, że ani ja, ani nikt inny by się chyba na to nie odważył. Ale wtedy... wtedy było trochę jak u Schulza w opowiadaniu *Pan*: „wielki, zdziczały, stary ogród”. Mityczny, bo wszystkie przestrzenie dzieciństwa są tym bardziej mityczne, im bardziej nie wiemy, gdzie są furtki do nich. Mimo to raz jeszcze przekraczam tę przestrzeń, żeby zabrać anioła...

*

Nie da się nie zauważyć tych „anielskich wianuszków”. Wystarczy zbliżyć się do ołtarza w kościele pw. św. Teresy od Dzieciątka Jezus w Radomiu. Okalają równymi rzędami arkadowe kolumny. Nigdy ich nie liczyłam, ale na pewno jest ich kilkadziesiąt. „Unikatowe rzeźby stylizowa-

nych aniołów, umieszczone na głowicach kolumn” – pisał Wiesław Kowalik w studium o radomskim kościele („Wczoraj i Dziś Radomia” 2005, nr 4). Nie udało mi się dowiedzieć, czyje są autorstwa. Według informacji, które uzyskałam od proboszcza, księdza Zbigniewa Gaczyńskiego, w kronice parafii nie zachowała się żadna wzmianka na ich temat. Nazwiska autorów aniołów nie wymieniają także opracowania dotyczące kościoła.

Na pewno zostały umieszczone na kolumnach w latach 50., kiedy trwały prace nad wyposażeniem ołtarza. W parafialnej kronice można zobaczyć jeszcze dawny ołtarz z drewnianymi kolumnami, choć dziś trudno wyobrazić go sobie bez tych bielutkich aniołów. Cztery z nich, oddzielone od reszty, strzegą wejść do zakrystii. I nikt, no może oprócz właścicieli dzikiego ogrodu, nie domyśla się nawet, że istnieje jeszcze jeden anioł, który nigdy nie trafił na ołtarz...

*

Odkąd pamiętam, stał wbity w ziemię i oparty o konar drzewa. A sięgam pamięcią



fol. Marta Wiktoria Trojanowska

niewiele ponad 30 lat wstecz, tymczasem on musiał tak stać blisko... pół wieku. Zasypany jesiennymi liśćmi, śniegiem bielutkim jak jego kościelni bracia, zalewany promieniami słońca i deszczami... Stał.

Kiedy fotografowałam go po raz pierwszy kilka lat temu, bez trudu mogłam rozpoznać jeszcze zarysy twarzy, choć już wtedy czas okrutnie poranił tę twarz, a po złożonych na piersiach białych rączkach pozostał tylko ślad. Dziś mogę się jedynie domyślać, jak wyglądał, przyglądając się aniołom z ołtarza i próbując zgadywać. Budulec uległ tak mocnemu rozkładowi, że przez kamienną szatę przeświecają skalające rzeźbę grube druty. Nie ma już skrzydeł, z twarzy pozostały jedynie zamknięte od dawna oczy. Można by pomyśleć, że upodabnia się do swojej pierwotnej natury – bezkształtnej masy, której dopiero człowiek miał podarować skrzydła. Jak to się stało, że 50 lat trwał w przydomowym ogrodzie?

*

Kiedy przypomniałam sobie pewnego dnia, że w ogrodzie rodzinnego domu mojej mamy

stał wbity w ziemię aniołek oparty o drzewo, prawie nikt już o nim nie pamiętał. Potem w rodzinie zaczęto opowiadać, że wujek Janek Zawadzki pracował przy budowie kościoła na Borkach. I że spędzał na budowie całe dni, a rodzina pieszo z Glinic przynosiła mu obiady. Po latach przeczytałam we wspomnianym artykule o kościele na Borkach, że na początku lat 50.: „dokończono »wyprawę« nawy i kruchty z użyciem 508 sztuk prefabrykatów wykonanych przez Jana Zawadzkiego”. Nic więcej nikt nie potrafił mi powiedzieć. Więć i ja wiem tylko tyle i raczej niczego się już więcej nie dowiem. Obecność anioła w ogrodzie pozostanie tajemnicą. Może był uszkodzony, może było ich więcej, może był nieparzysty i się po prostu nie zmieścił w „wianuszkach”, więc wujek Zawadzki przyniósł go do domu i wbił w ziemię pod drzewem, bo nie znalazł dla niego innego miejsca, a anioł przetrwał, aby teraz rozpaść się w rękach.

*

Drzewo ścięto już jakiś czas temu. Na miejscu dzikiego ogrodu z opowiadania Schulza stanie zapewne niedługo nowy budynek. Podnoszę więc ostrożnie leżącego twarzą do ziemi aniołka i zabieram do domu. Tylko że poza ogrodem nie ma dla niego miejsca – przedmioty wyrwane ze swojej przestrzeni same są jak ścięte drzewa. Coraz częściej myślę więc o tym, że powinnam po prostu zakopać go w ziemi. Pozwolić i jemu obrócić się w pył. Ktoś kiedyś wykopie zardzewiałe druty...

Marta Wiktoria Trojanowska

Pałac zapomniany

Jerzy Kutkowski

Borkowice w pobliżu Przysuchy – wieś słynna nie tylko z działalności ks. Jana Wiśniewskiego. Wielką atrakcją turystyczną jest pałac ukryty w parku na wzgórzu ponad drogą Szydłowiec–Przysucha. W zasadzie powinienem napisać, że mógłby być atrakcją. Jednak jego obecny stan sprawia, że turyści nie zaglądają zbyt często do Borkowic.

Wieś, jak i dobra rolno-leśne wokół leżące, na przestrzeni wieków należały do wielu znamienitych rodów: Duninów-Borkowskich, Szaniawskich, Dzionich, Małachowskich, Tarnowskich. Wieś otrzymała też w spadku Maria Karolina z księżąt Czetwertyńskich, która w roku 1895 wyszła za mąż za Stefana Dembińskiego z pobliskiej Przysuchy. W 1903 r. Dembińscy rozpoczęli w Borkowicach budowę rodzinnej rezydencji. Pałac ukończono pięć lat później. Eklektyczny gmach, w którym zauważyć można elementy renesansowe, barokowe i klasycystyczne, zaprojektowali Władysław Marconi i Zygmunt Hendel. Projekt powstawał jeszcze w XIX w., a inspiracją dla niego były francuskie siedziby magnackie. W internecie można znaleźć szczegółowy opis budynku wymieniający jego cechy architektoniczne. Pałac zachwycał nie tylko architekturą, ale i nowinkami technicznymi, posiadał system centralnego ogrzewania, a wkrótce po wybudowaniu również elektryczność. Wokół urządzono park o powierzchni 9,5 ha – w stylu angielskim, z grotami, wązozami, mostkami, alejami i kopcem usypanym na wzór krakowskiego. Do tej pory rośnie w parku wiele starych drzew, czasem dużo starszych niż pałac, m.in. 300-letni platan i 200-letnia lipa drobnolistna, sędziwy modrzew i buk pospolity, zachowały się resztki lipowych i grabowych alei. Stare pomnikowe drzewa posadzo-

no prawdopodobnie w parku, który założono wokół dworu poprzedników. Dembińscy przywrócili majątek do świetności, rozbudowując także budynki gospodarcze położone po drugiej stronie drogi do Przysuchy. Zachował się kryty gontem zabytkowy spichlerz z końca XIX w., który również należał do majątku Dembińskich. Do naszych czasów przetrwał także niewielki budynek zwany rządówką, położony na skraju parku. Przetrwał, bo mieszkali w nim nauczyciele ze szkoły rolniczej, choć dziś jest w opłakanym stanie.

Podziwiając pałac, warto poznać historię życia jego mieszkańców. Dembińscy mieli siedmioro dzieci: Stanisława Juliusza (1896–1958), Marię Helenę (1897–1970), Teresę (1899–1919), Stefana Antoniego (1901–1974), Jadwigę (1908–1990), Zygmunta (1910–1985), Różę (1915–1939). Stefan, który dał początek borkowickiej linii Dembińskich, zmarł w 1934 r. Najmłodsza córka Dembińskich, Róża, ur. 1915 r., pieszczotliwie nazywana Rólką, była powszechnie znana w okolicy jako aktywna i lubiana organizatorka szkoleń oraz zabaw i przedstawień teatralnych. W 1938 r. została wybrana prezeską Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży w Borkowicach. Stowarzyszenie liczące blisko setkę nastoletnich parafian prowadziło działalność kulturalno-oświatową, kształtującą postawy patriotyczne i obywatelskie młodzieży. 22 kwietnia 1939 r. Róża Dembińska wyszła za mąż za księcia Andrzeja Marię Czetwertyńskiego z Żołudka. Pięć miesięcy później wojna zastała ją w kresowym majątku męża w Skidlu koło Grodna. Po agresji Armii Czerwonej na Polskę, już 20 września 1939 r., bolszewicka wataha wdarła się do posiadłości Czetwertyńskich. Księżę Andrzej miał zostać rozstrzelany, a 24-letnia Róża zażądała,



Pałac w Borkowicach od frontu

foto: Jerzy Kutkowski

by zabito ją wraz z mężem. Życzenie skwapliwie spełniono (choć podawane są różne dni ich śmierci). Jej starszy brat Zygmunt (ur. 1910) ukończył studia ekonomiczne na uniwersytecie francuskim w Grenoble w roku 1933 i obronił pracę doktorską „Role miast Gdyni i Gdańska dla państwa polskiego”. Po powrocie zamieszkał w Gdyni, gdzie pracował w Banku Zachodnim, w Holenderskim Biurze Maklerskim. Do wybuchu wojny był tam kierownikiem biura eksportu. Kilka razy zgłaszał się jako ochotnik do wojska, ale ze względu na stan zdrowia nie został przyjęty. W pierwszych dniach wojny przyjechał do Borkowic i jako jedyny mężczyzna zdecydował o wyjeździe rodziny, ponieważ wojska niemieckie były już blisko. Dembińscy wyjechali z Borkowic za granicę, deponując dzieła sztuki w muzeach. Pałac wraz z wyposażeniem został zarekwirowany przez hitlerowców, a pozostali członkowie rodziny zostali wypędzeni do majątku w Ruszkowicach. W przestronnych pomieszczeniach urządzono koszary Wehrmachtu, zaś gospodarstwo rolne przekształcono na niemiecki Liegenschaft. Pod koniec wojny do pałacu wprowadzono specjalne oddziały niemieckie, które miały walczyć z partyzantami z okolicznych lasów. Zygmunt zamieszkał w Warszawie, wstąpił do ZWZ – Armii Krajowej (pseudonim „Roszkowski”). Został upoważniony do sekretnych kontaktów z głęboko utajnionymi członkami AK, którzy ratowali więźniów politycznych Pawiaka. Po powstaniu szczęśliwie wyszedł z Warszawy. Po wojnie osiadł w Katowicach, potem pracował w przemyśle stalowym w Warszawie. W 1957 r. zawarł związek małżeński z Zofią Borkowską. Zmarł nagle w 1985 r. w Warszawie. Został pochowany w rodzinnej kaplicy cmentarnej w Borkowicach.

Po wkroczeniu Armii Czerwonej (17 stycznia 1945 r.) pałac przez kilka miesięcy służył radzieckim żołnierzom jako szpital. Następnie opuszczony, zdewastowany obiekt był

systematycznie okradany i niszczone przez szabrowników. Nowa komunistyczna władza planowała nawet zrównanie go z ziemią. Na szczęście podjęto decyzję o remoncie pałacu i jego adaptacji na cele oświatowe. W 1948 r. ówczesne władze powiatowe zorganizowały tam zespół szkół rolniczych. Zajęcia praktyczne odbywały się w podworskim gospodarstwie rolnym. Pałac niezbyt nadawał się na szkołę, wzrastająca liczba uczniów powodowała ogromną ciasnotę. Przeprowadzono remont generalny, który obejmował wymianę instalacji elektrycznej i wodno-kanalizacyjnej. Zajęto się dachem, a przede wszystkim więźbą dachową. Planowano pokryć budynek dachówką, ale wówczas odpowiednią dachówkę produkowano jedynie w Gdańsku, a na realizację zamówienia czekało się 10–15 lat. Zdecydowano się na pokrycie dachu blachą, choć zdobycie blachy było niewiele łatwiejsze. W znacznej części prace remontowe wykonali robotnicy z pobliskich zakładów pracy (m.in. z ZNTK w Radomiu) za udostępnienie pałacu na wypoczynek wakacyjny, kolonie dla dzieci. Stałych remontów wymagały także budynki gospodarcze.

Jeden z dyrektorów szkoły wspomina: „Za punkt honoru postawiłem sobie doprowadzenie do nowych inwestycji, jednak w pierwszej chwili musiałem stawić czoła bezpośrednim problemom. Na początku lat siedemdziesiątych, w czasie zajęć, podczas młócki, doszło do zwarcia elektrycznego w młocarni. Wybuchł pożar, w następstwie którego spłonęła stodoła, narzędziownia oraz inne obiekty w gospodarstwie. Ich odbudowa była niezwykle absorbująca. Sama odbudowa spichlerza to odrębny rozdział, gdyż obiekt ten jest zabytkiem drugiej klasy. Szczególnie zdobycie gontu na pokrycie dachu było wielkim wyzwaniem. W gospodarstwie było wtedy 28 różnych budynków, z których każdy wymagał remontu. Niektóre z nich miały stopień zniszczenia szaco-



Rządcówka w Borkowicach

wany na 78%. Gdyby miały 80, można by je zburzyć, ale żaden rzeczoznawca nie chciał dać 80%, by w razie jakichś wątpliwości nie zostać pociągniętym do odpowiedzialności. Ponadto plac w gospodarstwie wymagał wybrukowania, gdyż nieustannie zamieniał się w breję gliniastego błota, stale rozrabianego przez konie, które były wtedy główną siłą pociągową. Nie dawało się tam wejść. Brukowanie przeprowadziłem, nie mając zabezpieczonych na to pieniędzy. Podczas wizyty kierownika Wydziału Oświaty z Urzędu Wojewódzkiego usłyszałem z jego ust: „Za to, że się pan tego podjął, należy się panu pochwała, ale że nie zabezpieczył pan na ten cel środków finansowych, to należałoby pana zwolnić”. Na szczęście doceniono moją inicjatywę i pieniądze się znalazły. Z czasem gospodarstwo stało się powodem do dumy: chlewnia była chlewnią zarodową, a nasiona zbóż były kwalifikowane”.

W 1981 r. w Borkowicach zorganizowano światowy zjazd Dembińskich. Wnuk dawnej właścicielki posiadłości Marii Karoliny Dembińskiej, Stefan Dembiński (1926–2014), wielokrotnie podejmował próby odzyskania rodzinnej posiadłości, lecz bez skutku. W urzędach mówiono mu, że chętnie pałac oddadzą, ale po wpłaceniu połowy jego wartości. Obowiązujące przepisy nakazywały spadkobiercy odkupić należący mu się spadek. Na marginesie: żoną Stefana była Krystyna Uniechowska, córka znakomitego rysownika i ilustratora Antoniego Uniechowskiego i Marii Assunty de Liguori z Wenecji. Ich romantyczne uczucia Krystyna opisała w *Apokryfie weneckim* (2004). Napisała także sześć tomów wspomnień o ojcu, znajomych, przyjaciółach, o sobie, podróżach i pracy. Pomagała Franciszkowi Starowieyskiemu przy pisaniu rodzinnych wspomnień. Chętnie opowiadała o doskonałym jej znanym arystokratycznym środowisku.

W 1984 pałac, a rok później park wpisano do rejestru zabytków. Na skraju parku wybudowano socrealistyczne klocki, do których przeniesiono szkołę; pałac opustoszał i szybko zaczął popadać w ruinę. Z powodu przeciekającego dachu zawaliły się stropy. W Urzędzie Wojewódzkim w Radomiu zrodził się pomysł utworzenia w zespole pałacowym ośrodka szkoleniowo-wypoczynkowego, na który niestety zabrakło finansów. Skończyło się na pomysle. W roku 2000 zabytkowy zespół pałacowo-parkowy o powierzchni 10 ha stał się własnością starostwa przysuskiego. Chcąc pozbyć się kłopotu, starostwo sprzedało w 2004 r. pałac wraz z częścią parku osobie prywatnej. Pod koniec 2006 r. właścicielem posiadłości został kolejny nabywca, znany przedsiębiorca z Warszawy. Zamknięto dostęp do wnętrza postronnym osobom. To zatrzymało jego dalszą dewastację. Właściciel założył fundację „A jednak”, stronę internetową, zaczął organizować imprezy integracyjne, kulturalne, konferencje. W pałacu zabezpieczono otwo-

ry okienne, oczyszczono rynny, zabezpieczono dach przed przeciekaniem. Na bieżąco kontrolowany jest stan techniczny i dokonuje się doraźnych prac zabezpieczających. Systematycznie porządkowany jest park, usuwane są liście, suche gałęzie, wykonywany jest przegląd drzewostanu. Pięknie tu szczególnie jesienią. Jest też jednak łyżka dziegciu. Właściciel, aby inwestować (w grę wchodzi wielkie pieniądze), musi posiadać całość działki, tymczasem samorząd ją podzielił i odsprzedał poprzednikowi tylko część, zatrzymując fragment parku, budynki sąsiadujące z pałacem, a przede wszystkim drogę dojazdową. Negocjacje w sprawie scalenia trwają 10 lat, pałac ciągle czeka...

Przy pisaniu artykułu korzystałem m.in. ze strony <http://ajednak.pl>.

Jerzy Kutkowski
10 września 2016 r.

KRONIKA

lipiec–sierpień 2016

Łża

24.07.2016. Aż 45 zespołów i solistów z całego kraju prezentowało się podczas XXII Festiwalu Folkloru im. Józefa Myszkii.

5.08.2016. W galerii Domu Kultury otwarta została poplenerowa wystawa malarstwa artystów uczestniczących w XXII Ogólnopolskim Plenerze Malarskim „Zabytki Łży i Powiatu Radomskiego Łża 2016”. Pokazano na niej 80 prac powstałych podczas pleneru.

14.08.2016. Po raz 22. odbył się Łżecki Jarmark Sztuki Ludowej. W imprezie, organizo-

wanej przez Towarzystwo Ochrony i Promocji Zawodów Ginących, uczestniczyli twórcy i artyści z Mazowsza oraz z sąsiednich województw świętokrzyskiego i lubelskiego.

Kozienice

22.07.2016. W Muzeum Regionalnym im. prof. Tomasza Mikockiego otwarto poplenerową wystawę „Puszcza Kozienicka. Inspiracje Garbatka-Letnisko”. Współorganizatorem pleneru i wystawy był Zespół Szkół Ponadgimnazjalnych w Garbatce-Letnisku.

26–27.08.2016. W Amfiteatrze trwał Festiwal Muzyki Rozrywkowej im. Bogusława Klimczuka. W koncercie galowym wystąpił zespół Pectus. Impreza po raz kolejny została zorganizowana przez gminę Kozienice i Kozienicki Dom Kultury.

14.09.2016. Na skwerze przy ul. Bohaterów Getta odsłonięto obelisk upamiętniający mieszkańców Kozienic narodowości żydowskiej zamordowanych przez niemieckich faszystów w okresie II wojny światowej. Uroczystość odbyła się staraniem Towarzystwa Miłośników Ziemi Kozienickiej i gminy Kozienice.

16.09.2016. W Muzeum Regionalnym otwarto wystawę Uty Przyboś-Christiaens. Autorka, córka słynnego poety, pokazała na niej 69 prac składających się na trzy cykle „Pieczęcie”, „Po” i „Z tej ziemi”.

Radom

2.07.2016. Koncertem w Zespole Szkół Muzycznych zakończyła się VIII edycja Międzynarodowej Akademii Dyrygentów organizowanej przez Radomską Orkiestrę Kameralną. W tegorocznych warsztatach wzięli udział uczestnicy z Niemiec, Australii, Danii, Korei, Rosji, Belgii i Polski.

9.07.2016. Zakończenie dziewiątej edycji festiwalu Kameralne Lato zorganizowano w kinie Helios. Grand Prix otrzymała Monika Pawluczyk, twórczyni filmu „Koniec świata”. Podczas tygodniowej imprezy odbywały warsztaty, wykłady, projekcje filmów. Uczestnicy festiwalu tworzyli też własne obrazy.

29.07.2016. Radomski Klub Środowisk Twórczych i Galeria „Łażnia” zaprosił do siedziby przy ul. Traugutta na otwarcie wystaw „Zona”

Zbigniewa Sikory i „Jak dobrze” Sabiny Twardowskiej.

1.08.2016. Koncertem w kościele pod wezwaniem św. Jana Chrzciciela rozpoczął się XXIX Międzynarodowy Festiwal Muzyki Organowej i Kameralnej Radom–Orońsko 2016. Na organach grał Robert Grudzień. Towarzyszyła mu Monika Łyżwa-Wąsowicz (sopran) oraz aktorka Halina Łabonarska, która czytała fragmenty dzienniczka św. Faustyny Kowalskiej.

20.08.2016. W Mazowieckim Centrum Sztuki Współczesnej „Elektrownia” odbył się wernisaż wystawy „Widziane i doświadczalne” niemieckiej artystki Jenny Brockman.

2–4.09.2016. Trwał Festiwal Literacki Opętani Literaturą. W ramach imprezy, której głównym organizatorem był Prezydent Miasta Radomia, a współorganizatorem Muzeum Witolda Gombrowicza we Wsoli, odbyło się spotkanie z Ritą Gombrowicz – patronką festiwalu, spotkanie z Jerzym Radziwiłowiczem – aktor przeczytał pierwszy rozdział powieści Gombrowicza *Opętani*. Głównym punktem imprezy było wręczenie Nagrody Literackiej im. Witolda Gombrowicza za debiut. Zorganizowano też dyskusję o literaturze współczesnej z udziałem członków kapituły nagrody oraz pisarzy nominowanych: Macieja Hena, Agnieszki Kłós, Weroniki Murek, Macieja Płazy, Tomasz Wiśniewskiego. Laureatami zostali Maciej Hen i Weronika Murek. Gali towarzyszył koncert Grzegorza Turnaua z zespołem.

4.09.2016. Muzeum Wsi Radomskiej zorganizowało 18. edycję cieszącego się wielką popularnością festynu Święto Chleba.

8.09.2016. W Miejskiej Bibliotece Publicznej odbył się wernisaż wystawy „Wysokorozdzielcze pole widzenia”. Swoje prace zaprezentowały członkinie radomskiej grupy Cztery

Czwarte: Teresa Bysiec, Anna Ludwicka, Barbara Wziątek, Anna Zimoląg. Wszystkie są absolwentkami Wydziału Sztuki UTH.

9.09.2016. W Mazowieckim Centrum Sztuki Współczesnej „Elektrownia” odbył się wernisaż wystawy „Orzeł biały na tle nerwowym. Rysunki Krzysztofa Mańczyńskiego. Wybór z lat 1967–2016”.

9.09.2016. Na taneczny wieczór swingowy z Mundaną zaprosił MOK „Amfiteatr”. Grał big-band Mundana w 20-osobowym składzie pod batutą Zbigniewa Bidzińskiego. Można było usłyszeć takie przeboje jak „Fly Me to the Moon”, „Mack the Knife” czy „In the Mood”.

10–11.09.2016. Dwudniowy festyn historyczny, po raz kolejny zorganizowana przez OKiS „Resursa Obywatelska” Uliczka Tradycji, przyciągnął tysiące zainteresowanych podróżą w czasie do międzywojennego Radomia. Tegoroczna impreza odbywała się pod hasłem „I choćby przyszło tysiąc atletów...”. W programie były koncerty dawnych przebojów, pokazy teatralne i taneczne, stare gry i zabawy, przedwojenne kino.

16.09.2016. W galerii szkolnej „Kontrast” Zespołu Szkół Plastycznych im. Józefa Brandta otwarta została wystawa grafik nieżyjącego już radomskiego artysty Jerzego Jarzyńskiego oraz Katarzyny Pietrzak.

16.09.2016. Premierą „Boboka” według opowiadania Fiodora Dostojewskiego w reżyserii Grigorija Lifanova Teatr Powszechny rozpoczął nowy sezon artystyczny.

17.09.2016. Radomska Orkiestra Kameralna rozpoczęła dziesiąty sezon artystyczny. W programie koncertu inauguracyjnego znalazły się utwory polskich kompozytorów (Wojciecha Kilara, Piotra Klimka) oraz klasyka za-

graniczna: polskie prawykonanie „Koncertu fagotowego” Gordona Jacoba, „Romance” Edwarda Elgara i „Kwartet g-moll” Edvarda Griega. Gościnnie wystąpili fagocista Meyrick Alexander oraz dyrygent Jacques Cohen.

22.09.2016. W „Łażni” Radomskim Klubie Środowisk Twórczych i Galerii otwarto wystawę malarstwa Małgorzaty Dobrzynieckiej-Kojder, prof. ASP w Łodzi.

23.09.2016. W Ośrodku Kultury i Sztuki „Resursa Obywatelska” odbył się benefis Michała Budzisa „30 lat pracy w radomskiej kulturze, plastyce i kabarecie”, aktualnie pracującego w „Łażni” Radomskim Klubie Środowisk Twórczych i Galerii.

27.09.2016. Radomska Orkiestra Kameralna zaprosiła na znakomity koncert zatytułowany „Pteropetros: pióro i kamień”. Wystąpili muzycy z Wrocławia. Były to dwa zespoły: Lutosławski Quartet i LutosAir Quintet.

Szydłowiec

16–17.07.2016. Odbywał się Festiwal im. Andrzeja Siewierskiego „Rock na Zamku”. Gwiazdą koncertu finałowego był zespół Azyl P. i Przyjaciele.



Laureaci nagrody:
Maciej Hen – za powieść *Solfara*
Weronika Murek – za książkę
Uprawa roślin południowych metodą Miczurina

Jerzy Kutkowski – Subiektywny obiektyw



Ślad, Radom, 4 czerwca 2016 r.